

PATRICIA MARVELL

BĄDŹ MOJĄ JULIĄ

Przełożyła Maria Magdalena Szwarc

Tytuł oryginału ROMEO AND JULIETTE

ROZDZIAŁ 1

I co? Dostaniesz główną rolę? - spytała Terri, patrząc z wyczekiwaniem na przyjaciółkę.

Leslie, nie przerywając wyciągania z szafki zeszytów i podręczników, skinęła głową i lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Dostałaś wreszcie główną rolę i nie skaczesz z radości? - zdziwiła się Terri, zerkając na nią podejrzliwie.

- A z czego tu się cieszyć? Nie zagram przecież na Broadwayu, tylko w szkolnym teatrze. Amatorskim teatrze - dodała Leslie z naciskiem.

Terri zupełnie nie rozumiała przyjaciółki. Szkolne kółko teatralne co roku wystawiało dzień przed Świętem Dziękczynienia jakąś sztukę. Leslie była jedną ze zdolniejszych członkiń tego kółka - według Terri, najzdolniejszą - i w zeszłym roku wszyscy spodziewali się, że to właśnie ona zagra główną kobiecą rolę w sztuce Sama Sheparda. Tymczasem pan Shelton, opiekujący się młodymi aktorami w liceum Santa Rosa, uznał, że Leslie, wtedy uczennica przedostatniej klasy, będzie miała jeszcze szansę w tym roku, i w głównej kobiecej roli obsadził dziewczynę starszą od niej o rok.

Przyjęła jego argumenty ze zrozumieniem, ale Terri знаła ją wystarczająco długo, by wiedzieć, jak bardzo była rozczarowana.

Wczoraj przed pierwszym w tym roku spotkaniem kółka teatralnego, choć Leslie zachowywała się normalnie, jej przyjaciółka wiedziała, że ten spokój jest tylko pozorny.

- Nie powiesz mi chyba, że nie zależało ci na głównej roli?

Leslie włożyła ostatnią książkę do plecaka i zarzuciła go na ramię.

- Pewnie, że mi zależało - przyznała. - Tylko że mi przeszło.

Terri nie wierzyła własnym uszom. Jej przyjaciółka od małego marzyła o tym, żeby zostać aktorką. I nie były to tego typu marzenia, jakie żywi każda dziewczynka, której jest właściwie wszystko jedno, czy będzie piosenkarką, aktorką czy modelką, bo tak naprawdę liczy się tylko sława. Leslie nie śniła o tym, by trafić na okładki magazynów, jej śnił się teatr.

- Nie wierzę - oświadczyła Terri. - Nie wierzę, że w ciągu jednego dnia komuś może przestać zależeć na czymś, na co czekał prawie cały rok.

Leslie milczała przez chwilę, po czym wyrzuciła z siebie ze złością:

- Wiesz, co on wymyślił? Zgadnij, co będziemy w tym roku wystawiać?

Terri szanowała zainteresowania przyjaciółki, doceniała jej talent, lecz nie podzielała jej pasji. Dla niej teatr właściwie mógłby nie istnieć i poza utworami dramatycznymi, o

których mówili na angielskim, potrafiłaby wymienić zaledwie kilka tytułów sztuk.

- Nie każ mi zgadywać - poprosiła. Zastanawiała się, cóż takiego mógł wymyślić pan Shelton - bo domyśliła się, że to o nim mowa - że tak zirytował Leslie.

- „Romea i Julię”! Wyobrażasz to sobie?!

Terri poczuła się trochę pewniej. Obawiała się, że padnie jakiś nieznaną jej tytuł autora, o którym nigdy w życiu nie słyszała. Choć w zeszłym roku, kiedy przerabiali na angielskim Szekspira, akurat „Romea i Julii” nie omawiali, ale ten tytuł zna przecież każdy, nawet taka ignorantka jak ona.

- To wspaniale - rzuciła z zachwytem. - Naprawdę nie wiem, co cię w tym tak oburza? Leslie spojrzała na nią z niesmakiem.

- Wyobrażasz sobie mnie w roli Julii?

Terri zastanawiała się przez chwilę. No tak, pomyślała. Julia jako Włoszka prawdopodobnie była ciemnooką brunetką, podczas gdy Leslie, choć nosiła włoskie nazwisko, miała jasne jak len włosy i niebieskie oczy. Ale to nie kto inny jak Leslie tłumaczył jej kiedyś, że dobra aktorka potrafi zagrać wszystko, staruszkę, chłopca, psa, kota, a jeśli trzeba, to nawet szafę.

- Chodzi ci o to, że jesteś blondynką? - spytała Terri niepewnie.

- Coś ty! - prychnęła jej przyjaciółka. - Zresztą nie chodzi mi tylko o mnie i o moją rolę.

- To o co?

- Kogo dziś obchodzi jakichś dwoje zakochanych idiotów, którzy głupieją do tego stopnia, żeby się zabijać?

- No... na przykład mnie.

Leslie uśmiechnęła się. Terri zawsze była niepoprawną romantyczką, która wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia i w takie tam banialuki. Dawniej często o tym rozmawiały i zawsze dochodziło przy tym do kłótni. Kiedy w zeszłym roku po takiej ostrej wymianie zdań przez cały tydzień nie odzywały się do siebie, postanowiły dla dobra przyjaźni, która trwała już kilka lat, unikać tego tematu. Leslie korciło, żeby teraz złamać tę zasadę, ale się powstrzymała.

- Spóźnimy się na fizykę - powiedziała i ruszyła korytarzem w stronę klasy.

Przez chwilę szły w milczeniu, w końcu Terri nie wytrzymała.

- I nie sądzę, żebym była wyjątkiem. I coś ci jeszcze powiem. Ty też na pewno wierzysz w wielką romantyczną miłość, tylko się do tego nie przyznajesz.

Leslie zatrzymała się i zgromiła ją wzrokiem.

- Chcesz powiedzieć, że nie jestem wobec ciebie szczerą?
- Gorzej. Nie jesteś szczerą wobec siebie.
- Niby skąd możesz o mnie wiedzieć coś, czego sama o sobie nie wiem?
- Ludzie często nie wiedzą o sobie rzeczy, które widzą inni.

Leslie czuła, że jeśli natychmiast nie zakończą tej rozmowy, za chwilę dojdzie do kłótni.

- Posłuchaj - zaczęła bardziej ugodowym tonem - tu naprawdę nie ma znaczenia, czy ja wierzę w wielką romantyczną miłość, czy nie. Chodzi o to, że nawet jeśli taka miłość istnieje, to dzisiaj ludzie nie mają już takich problemów. Załóżmy, że Romeo i Julia żyliby w dzisiejszych czasach, i załóżmy, że zakochaliby się w sobie od pierwszego wejrzenia... - Przerwała i skrzywiła się z dezaprobatą. - Myślisz, że przejmowałiby się tym, że ich rodziny kłócą się ze sobą?

- Nie wiem - odparła jej przyjaciółka.
- Oczywiście, że mieliby to w nosie - odpowiedziała Leslie na swoje pytanie.

- Nie jestem tego taka pewna... - Terri nie dokończyła. Kilka metrów przed nimi zatrzymał się nieznajomy chłopak, wysoki brunet mniej więcej w ich wieku. Wyglądał nieźle, ale to nie jego wygląd sprawił, że przerwała w pół słowa, lecz to, jak przyglądał się jej towarzyszce. Podążyła za jego wzrokiem, a kiedy jej spojrzenie spoczęło na twarzy Leslie, zamurowało ją. Jednego była pewna - jej przyjaciółka jeszcze nigdy nie patrzyła na żadnego chłopaka w ten sposób.

- Możecie mi powiedzieć, gdzie tu jest sekretariat? - Chłopak zwracał się do obu dziewczyn, ale Terri była absolutnie pewna, że jej w ogóle nie widzi.

Żadna mu nie odpowiedziała; Leslie nie spuszczała wzroku z jego twarzy, a Terri była tak zaskoczona reakcją przyjaciółki, że stała z otwartymi ustami. Po chwili doszła do wniosku, że musi wyglądać idiotycznie, i - na tyle składnie, na ile w tej sytuacji potrafiła - wytłumaczyła nieznajomemu, jak dojść do sekretariatu.

- Dziękuję - rzucił chłopak, obdarzając ją zaledwie przelotnym spojrzeniem, i ruszył we wskazanym kierunku.

Po paru krokach zatrzymał się jednak i odwrócił.

- Nazywam się Marcel Blanchard.

Terri domyśliła się, że będzie chodził do ich szkoły, i już chciała mu się przedstawić, ale wystarczył jeden rzut oka na jego twarz, żeby zrezygnować z tego pomysłu. Tego faceta z całą pewnością nie interesowało, jak ona się nazywa. Obchodziła go wyłącznie jej przyjaciółka, która wreszcie się odezwała.

- Ja jestem Leslie Medrano, a to jest Terri Kimberly. Marcel uśmiechnął się do Leslie, a jej koleżance zaledwie skinął głową.

Lepsze to niż nic, pomyślała Terri. Gdyby to jakakolwiek inna dziewczyna aż do tego stopnia odciągała od niej uwagę nowo poznanego chłopaka, byłaby co najmniej urażona.

- Będziesz chodził do naszej szkoły? - spytała tymczasem Leslie.

Marcel skinął głową i znów zapanowała cisza. On i Leslie patrzyli na siebie, a Terri zerkała to na jedno, to na drugie. W końcu znudziło jej się obserwowanie tej niemej sceny, pociągnęła przyjaciółkę za rękaw i przypomniała jej:

- Chyba się bałaś, że spóźnimy się na fizykę.

- No tak... musimy lecieć. Cześć.

- Cześć - powiedział chłopak i zanim ruszył w stronę sekretariatu, dodał: - Pewnie wkrótce się spotkamy.

- Na pewno - odparła Leslie i Terri nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej przyjaciółkę wcale nie martwi ta perspektywa.

- No, proszę - rzuciła, kiedy Marcel oddalił się na tyle, że nie mógł ich słyszeć. - Ktoś tu nie wierzy w miłość od pierwszego wej... - Przerwała, bo ujrzała w oczach przyjaciółki niebezpieczne błyski. Leslie była wściekła, Terri obawiała się więc, że jeśli pozwoli sobie na jeszcze choćby jedno słowo, dojdzie do awantury. - Przecież żartowałam - powiedziała ugodowo, choć nie była to do końca prawda.

Szły w milczeniu korytarzem i dopiero przy ostatnich drzwiach do sali fizycznej Leslie zatrzymała się.

- Mówił z jakimś takim dziwnym akcentem, prawda? Terri wiedziała, o co jej chodzi, ale postanowiła się z nią trochę podroczyć.

- Kto?

- Nie udawaj. Przecież wiesz, o kim mówię. Terri przez chwilę udawała, że się zastanawia.

- O tym zabójczo wyglądającym Romeo, w którego tak się wpatrywałam.

- Przestań, wcale się w niego nie wpatrywałam.

- Może masz rację - przyznała Terri i uśmiechnęła się. - „Wpatrywać się” to mało obrazowe określenie na to, co się działo. Powiedziałabym raczej, że pożerałaś go wzrokiem, a ściślej mówiąc, to pożeraliście się wzrokiem nawzajem. - Widząc, że przyjaciółka zbiera się do kontrataku, postanowiła nie dać jej dojść do słowa. - A co do jego akcentu, to masz rację, mówi z wyraźnie obcym akcentem.

- Myślisz, że on nie pochodzi ze Stanów Zjednoczonych?

- Może przyjechał do Kalifornii z Luizjany - zasugerowała Tent - Pamiętasz, dwa lata temu byłam z rodzicami przez kilka dni w Nowym Orleanie? Jeśli się nie mylę, to tam mówią z podobnym francuskim akcentem. - Przerwała i uważnie obserwowała przyjaciółkę. - Ale właściwie dlaczego tak bardzo cię to interesuje? - spytała w końcu, starając się ukryć ironiczny uśmiech.

Nie umknął on jednak uwagi Leslie. Prychnęła lekceważąco i weszła do klasy.

ROZDZIAŁ 2

Leslie odłożyła książkę, zgasiła lampkę na nocnym stoliku i położyła się na wznak z rękami pod głową. Mimo zamkniętego okna do pokoju dochodziły dźwięki z budynku, w którym co roku od początku września prawie do końca listopada mieszkali meksykańscy robotnicy, ściągający tu na winobranie. Zbieranie winogron miało się rozpocząć dopiero za dwa tygodnie, ale zajęć w winnicy już teraz było dosyć.

Po całym dniu pracy Meksykanie codziennie po kolacji siadali przed swoimi kwaterami i prawie do północy śpiewali przy akompaniamencie gitary.

Leslie nie uczyła się nigdy hiszpańskiego, ale od dziecka przez kilka miesięcy w roku co wieczór słuchała tych piosenek i większość знаła na pamięć. Choć nie potrafiłaby ich przetłumaczyć na angielski, wiedziała, że są o miłości.

Zamknęła oczy i próbowała wyłowić znane jej słowa *Mi corazón... mi cielo...*

Co oni wyśpiewują? - pomyślała, zamykając oczy. Moje serce! Moje niebo! Co za sentymentalne bzdury! Spróbowała sobie wyobrazić, że tak się do niej zwraca jakiś chłopak, i roześmiała się głośno.

Po chwili jednak wstała, podeszła do okna i otworzyła je. Z zewnątrz wdarło się do pokoju gorące powietrze. Początek września był w tym roku wyjątkowo upalny, jakby lato chciało jeszcze na koniec pokazać, co potrafi. W dzień temperatura dochodziła do czterdziestu stopni, a teraz, po zachodzie słońca, nagrzana ziemia i mury oddawały nagromadzone ciepło i było niewiele chłodniej.

W pierwszym odruchu chciała zamknąć okno. W pokoju działała klimatyzacja, która zapewniała przyjemną temperaturę. Po co więc wpuszczać do środka nagrzane powietrze?

Nie zamknęła jednak okna. Otworzyła je jeszcze szerzej. Nie słyszała teraz ani *mi corazón*, ani *mi cielo*, w ogóle nie słyszała słów, bo nikt nie śpiewał. Z rogu dziedzińca, przy którym mieściły się kwatery robotników sezonowych, dochodziły tylko dźwięki dwóch gitar.

No wreszcie jest czego posłuchać, pomyślała. Żadnych bzdur o sercu i niebie. Żadnych bzdur o miłości...

Zadowolona, wspięła się na szeroki parapet i usiadła bokiem do okna, obejmując kolana ramionami. Wsłuchana w dźwięki gitar, siedziała bez ruchu, a kiedy długa meksykańska ballada skończyła się i na dziedzińcu zapanowała cisza, Leslie z przerażeniem stwierdziła, że po policzkach spływają jej łzy.

Otarła je pośpiesznie i czym prędzej zamknęła okno.

Kiedy wróciła do łóżka, znów rozległy się dźwięki gitar. Już nie tak wyraźne, ale tak

samo poruszające.

Zachowuję się jak jakaś cikliwa idiotka, zganiła się w myślach i nakryła kołdrą aż po czubek głowy. Zawsze była dumna z tego, że jest rozsądną, trzeźwo myślącą dziewczyną, odporną na to, co jej przyjaciółka Terri nazywała romantyzmem, a ona - mniej górnolotnie - głupotą.

Mocno wytrącona z równowagi, usilnie próbowała coś sobie przypomnieć. Tak, to chyba to, pomyślała po chwili. Ale żeby się upewnić, wstała, zapaliła światło i wyjęła z szuflady notesik.

- No pewnie - powiedziała do siebie głośno. Już dzisiaj powinna mieć okres. Pewnie dostanie jutro, może pojutrze.

To wszystko wyjaśniało. Czasami przed okresem zdarzało jej się, że wpadała w taki nastrój. Albo płakała bez powodu, albo wściekała się na cały świat.

To zwykle napięcie przedmiesiączkowe, tak to się chyba fachowo nazywa. Nic innego, przekonywała się w duchu.

Im dłużej to sobie jednak powtarzała, tym mniej w to wierzyła.

ROZDZIAŁ 3

Słońce skryło się już w połowie za porośniętymi dębowym lasem wzgórzami, a skwar wciąż lał się z nieba.

Jak ci ludzie to znoszą? - pomyślał Marcel, kiedy zobaczył kilku mężczyzn w kapeluszach z szerokimi rondami, pracujących w winnicy. Właśnie minął kutą w żelazie bramę z wielkim szyldem „Blanchard Estate”, ozdobioną ornamentami przedstawiającymi winną latorośl.

Robotnicy, słysząc warkot przejeżdżającego samochodu, spojrzeli na drogę, po czym wrócili do swoich zajęć. Marcel wiedział już, na czym polega ich praca. Philippe Blanchard oprowadził go poprzedniego dnia po swojej posiadłości i wszystko wytłumaczył.

Chłopak zapamiętał z tego niewiele. Wiedział jednak, że teraz, na dwa tygodnie przed rozpoczęciem winobrania, trwa ostatnie w tym sezonie podcinanie winnej latorośli.

- Chodzi o to - tłumaczył Philippe Blanchard - żeby usunąć liście, które zasłaniają gronom dostęp do słońca. Te ostatnie tygodnie to najważniejszy okres w dojrzewaniu winogron. Właśnie teraz zyskują cały swój aromat, to co decyduje później o smaku wina.

Opowiadał jeszcze wiele rzeczy, które specjalnie nie interesowały Marcela. Większości nawet nie rozumiał.

Coś jednak zrozumiał, coś, nad czym zastanawiał się od lat.

Zawsze, kiedy w szkole, a wcześniej w przedszkolu słyszał, jak koledzy opowiadają o tym, że jeżdżą do dziadków, chodzą do dziadków z wizytą, dziadkowie odwiedzają ich, chodzą z nimi na spacer, przynoszą prezenty, czuł ukłucie zazdrości. Kiedy zaczął wypytywać mamę i tatę, dowiedział się, że rodzice mamy nie żyją. No tak, ale miał jeszcze przecież tatę. Za każdym razem, gdy zaczynał o tym rozmawiać, rodzice zmieniali temat. W końcu, kiedy był już na tyle duży, że nie mogli go tak po prostu zbyć, dowiedział się, że ma dziadka, ojca taty. Tyle że mieszka on daleko, za oceanem, i dlatego nie mogą się widywać. Marcel nie dawał jednak za wygraną i dalej wiercił rodzicom dziurę w brzuchu, zwłaszcza po tym, jak kilka lat temu spędzili część wakacji w Nowym Jorku. Skoro byli w Stanach Zjednoczonych, to dlaczego nie spotkali się z dziadkiem?

Któregoś dnia postanowili powiedzieć mu prawdę. Tata pokłócił się przed laty ze swoim ojcem i nie utrzymywali ze sobą kontaktu. Tata obiecał, że kiedyś wytłumaczy to Marcelowi. Nie wytłumaczył i już nigdy nie wytłumaczy. Nie dlatego, że nie dotrzymywał obietnic.

Tata zginął trzy miesiące temu w wypadku. I mama też go w tym nie wyręczy, bo była

w samochodzie razem z nim, kiedy jakiś szaleniec postanowił wyprzedzać na zakazie.

Ani on, ani mama nie wytłumaczą mu już nigdy, jak to jest możliwe, żeby ojciec tak bardzo pogniewał się na syna, by się całymi latami do niego nie odzywać.

Ale od wczoraj Marcel rozumiał, jak to jest możliwe.

Patrząc, jak Philippe Blanchard pokazuje mu posiadłość, jak z czułością dotyka liści i dojrzewających gron i mówi o nich, jak o najukochańszej osobie, uświadomił sobie, że ten oschły stary człowiek wszystkie swoje uczucia skupia na tej kamienistej ziemi i na tym, co z niej wyrasta. Na jakiegokolwiek uczucia do ludzi nie było już w nim miejsca.

Nawet na miłość do syna. I do wnuka.

Philippe Blanchard był dziadkiem Marcela.

To, że chłopak zobaczył go po raz pierwszy w życiu na pogrzebie rodziców, nie zmieniało faktu, że był jego jedynym krewnym.

Philippe'owi Blanchardowi nie można było właściwie niczego zarzucić. Robił, co mógł, żeby jego osierocony wnuk poczuł się w swoim nowym domu jak najlepiej. Zapewnił mu wszelkie wygody, o co zresztą przy jego zamożności nie było trudno.

Kiedy wczoraj wręczył Marcelowi kluczyk do samochodu, chłopak zaprotestował.

- Wiem, co ci chodzi po głowie - powiedział dziadek. - Myślisz, że próbuję cię kupić, prawda?

Chłopak w pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, ale starszy pan patrzył na niego tak przenikliwym wzrokiem, że w końcu skinął głową.

- Możesz, oczywiście, nie przyjąć tego samochodu, ale jakoś musisz jeździć do szkoły - rzekł Philippe Blanchard.

Marcel uświadomił sobie, że nie jest już w Paryżu, że nie ma tu metra, a do szkoły jest prawie dwadzieścia kilometrów.

Wziął kluczyki i wyszedł przed dom. Kiedy zobaczył na podjeździe nowiutkiego pontiaca, miał ochotę wrócić i oddać kluczyki. Postanowił jednak przynajmniej na chwilę wsiąść do tego połyskującego w słońcu cuda. I to był błąd.

Jeśli Philippe Blanchard zamierzał w ten sposób kupować wnuka, to mu się to udało, przynajmniej tym razem. We Francji Marcel przez najbliższe kilka lat mógłby tylko marzyć o samochodzie. Kiedy przekręcał kluczyk w stacyjce, uśmiechnął się, bo przemknęło mu przez głowę, co powiedzieliby jego paryscy koledzy, widząc go w takiej bryce.

Kilka sekund później uśmiech zamarł na jego ustach i na twarzy znów pojawił się wyraz smutku, który przez ostatnie miesiące rzadko ją opuszczał.

Oddałby tego pontiaca i jeszcze tysiąc takich, gdyby dzięki temu mógł odwrócić to, co

się stało. Ale nie mógł. W żaden sposób nie mógł. Miał już za sobą ten etap, kiedy wydawało mu się, że to wszystko nieprawda, jakiś koszmarny sen. Teraz przechodził bolesny proces godzenia się z rzeczywistością. A rzeczywistość była taka, że przynajmniej do ukończenia szkoły będzie musiał mieszkać z człowiekiem, którego właściwie nie zna.

I pontiac też był rzeczywistością.

Marcel dostrzegał starania starszego pana - wciąż, nawet w myślach, nie nazywał go dziadkiem - postanowił więc nie sprawiać mu przykrości i przyjąć samochód.

Kiedy zajechał swoim srebrnym cudem przed dom, Philippe Blanchard stał na szczycie wejściowych schodów. Chłopiec domyślił się, że czekał na niego.

- Jak było w nowej szkole? - zapytał, gdy wnuk wysiadł z samochodu.

- W porządku - odparł Marcel, wchodząc do olbrzymiego holu, w którym mogłyby się zmieścić co najmniej dwa ich paryskie mieszkania.

Starszy pan patrzył na niego wyczekująco, ale chłopiec nie bardzo wiedział, co jeszcze powiedzieć.

- Podobało ci się? - wypytywał Philippe Blanchard.

- Kolacja jest już na stole - oznajmiła Maria, jedna z trzech kobiet pracujących w tym wielkim luksusowym domu.

Uśmiechnęła się do Marcela tak serdecznie, że chłopcu zrobiło się ciepło koło serca. Wciąż nie mógł zrozumieć, po co gospodarstwem jednego człowieka - bo dotychczas Philippe Blanchard mieszkał tu przecież sam - zajmują się aż trzy osoby, nie licząc ogrodnika i, oczywiście, pracowników winnicy, ale cieszył się, że jest wśród nich właśnie Maria. Ona jedna wносиła ciepło w te zimne, wykładane marmurami wnętrza.

No, a poza tym wybawiła go od konieczności odpowiadania na pytanie Philippe'a Blancharda.

Co miał mu powiedzieć? Że było beznadziejnie? Zresztą jak miało być? Wcale się nie spodziewał, że będzie inaczej. Obca szkoła, obcy nauczyciele, obcy chłopcy i dziewczyny... Wszystko obce... I jutro znów wejdzie do tego budynku i nie zobaczy żadnej znajomej twarzy.

Poza jedną. Tak, tę jedną zapamiętał. Rozpoznałby ją nie tylko w niewielkim liceum Santa Rosa, ale i w tłumie ludzi na Polach Elizejskich.

ROZDZIAŁ 4

Już wszystko wiem - powiedziała Terri podekscytowanym głosem.

- Co wiesz?

- On wcale nie pochodzi z Nowego Orleanu.

Leslie chciała udać, że nie ma pojęcia, o kim mowa, ale po pierwsze uznała, że i tak nie uda jej się oszukać przyjaciółki, a po drugie była bardzo ciekawa informacji o Marcelu.

- To skąd ten jego francuski akcent?

- Prosto z Paryża - odparła Terri, przyglądając się uważnie Leslie, na której ta wiadomość wywarła niemałe wrażenie.

- Hmm.

Leslie wiedziała, że przyjaciółka wie znacznie więcej.

ale nie chciała jej wypytywać. Od kilkunastu dni, bo właśnie tyle czasu minęło, od kiedy po raz pierwszy rozmawiały z Marcelem na szkolnym korytarzu, za każdym razem gdy go spotykały, Terri nie mogła się powstrzymać przed uwagami, które coraz bardziej ją denerwowały.

Postanowiła powściągnąć ciekawość, ale ledwie uszła kilka kroków, zwróciła się do przyjaciółki:

- Jak to z Paryża?

- Normalnie - rzuciła Terri i znów zasznurowała usta.

- Tylko tyle się o nim dowiedziałas?

- No... coś tam jeszcze wiem. Ale ciebie to przecież nie interesuje. - Terri znów zamilkła. Starając się ukryć uśmiech satysfakcji, szła obok przyjaciółki. - O, Melissa ma nową fryzurę! - odezwała się po chwili, jakby uznała temat Marcela za zamknięty.

Leslie zatrzymała się i chwyciła ją za ramię. Za przechodzącą obok Melissą Northon nawet się nie obejrzała.

- Przestanieś się wreszcie ze mną droczyć! Terri popatrzyła na nią z udawanym zdziwieniem.

- Ja? - spytała głosem niewiniątka. - Zazdrościsz jej tej nowej fryzury?

- Dobrze wiesz, że nie mówię o Melissie. Ona zmienia fryzury co tydzień i nie zdziwiłabym się, gdyby któregoś dnia przyszła do szkoły z trawą na głowie zamiast włosów. - Zirytowana Leslie dopiero teraz obróciła się i zdążyła zobaczyć Melissę, zanim ta zniknęła za załomem korytarza. - Co jeszcze o nim słyszałaś? - zwróciła się do Terri i żeby zapobiec jej docinkom, zaczęła się tłumaczyć:

- Raz na sto lat pojawia się u nas ktoś nowy, więc to chyba normalne, że interesuję się tym, kto to taki. Gdyby to była dziewczyna, też bym o nią pytała. Terri wciąż miała na ustach kpiący uśmiezek.

- Zresztą dlaczego ja się w ogóle przed tobą tłumaczę? - powiedziała Leslie, kiedy zorientowała się, że i tak jej nie przekona.

- No właśnie, dlaczego? Wydaje mi się, że nie tłumaczyłabyś się tak, gdyby... - Terri, widząc minę przyjaciółki, zdecydowała się nie kończyć. - Dobrze już, dobrze. Powiem ci wszystko, co wiem. No więc ten twój... ten cały Marcel jest wnukiem starego Blancharda.

- Tego od Blanchard Estate? - Leslie zatrzymała się kilka metrów od drzwi klasy, w której miały mieć lekcję.

Terri skinęła głową.

Blanchard Estate było największą winnicą w okolicy. Ziemia Medranów graniczyła z nią na wschodzie, ale Leslie nigdy w życiu nie widziała jej właściciela, o którym wszyscy w okolicy mówili „stary Blanchard”. Nie miała również pojęcia, że ten człowiek ma jakąś rodzinę.

- Syn starego Blancharda przed laty wyjechał z żoną do Europy, do Francji - ciągnęła Terri.

- I teraz wrócili z synem do Kalifornii - domyśliła się jej przyjaciółka.

Z ust i z oczu Terri zniknął kpiący uśmiezek. Pokiwała głową. Jej twarz nagle zrobiła się bardzo poważna.

- Nie, przyjechał tylko Marcel.

- A jego rodzice zostali we Francji?

- Nie, kilka miesięcy temu oboje zginęli w wypadku samochodowym.

Leslie przez chwilę nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Stała jak wmurowana, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. Dopiero dźwięk dzwonka przywrócił ją do rzeczywistości.

- To straszne - szepnęła, wchodząc do klasy.

Teraz już rozumiała, skąd się bierze ten smutek w oczach Marcela. W ciągu minionych kilkunastu dni widywała go w szkole przelotnie, chodzili razem na chemię i biologię, czasami zamieniali ze sobą kilka słów. I za każdym razem dziwił ją wtedy smutek wyzierający z dużych, głęboko osadzonych czarnych oczu chłopaka.

Nagle zrobiło jej się strasznie głupio, przypomniała sobie bowiem, że Marcel kilka razy ją zagadywał, wyraźnie próbując nawiązać rozmowę, a ona odpowiadała mu w kilku słowach i w obawie, by Terri nie pomyślała sobie Bóg wie czego, raczej go unikała.

Przez całą lekcję myślała o tym, jak okropnie musi się czuć chłopak, który po stracie obojga rodziców rozpoczyna życie w nowym kraju. Ona nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby zamieszkać gdzieś poza Kalifornią. A rodzice... Owszem, z tatą czasem trudno się porozumieć, ale gdyby go zabrakło... Nie, to straszne. Myśli o tym, że mogłaby stracić mamę, w ogóle do siebie nie dopuszczała.

Wieczorem przy kolacji, podczas gdy rodzice rozmawiali o zbiorach winogron, a Tom, młodszy brat Leslie, czytał ukradkiem jakiś komiks, wciąż nie opuszczały jej Ponure myśli o Marcelu.

- Źle się czujesz? - zapytała matka. Kiedy podawała córce miskę z sałatą, zauważyła jej smutną minę. - Jakoś tak niewyraźnie wyglądasz.

- Nie, nic mi nie jest. Myślałam tylko o chłopaku, który zaczął chodzić do naszej szkoły. - Nagle uświadomiła sobie coś, co ją zdumiało. Z ich winnicą graniczyły ziemie kilku sąsiadów. Rodzice znali ich, rozmawiali o ruch przy różnych okazjach, odwiedzali ich, zapraszali do siebie. Dotyczyło to wszystkich poza właścicielem Blanchard Estate. O nim w domu Medranów nigdy nie padło ani jedno słowo. - To wnuk starego Blancharda - dodała po chwili.

Na twarzy ojca na dźwięk tego nazwiska na sekundę pojawił się dziwny grymas. Matka, która właśnie podawała mu półmisek z pieczenią, zamarła w połowie gestu i spojrzała na męża.

Jego twarz znów przybrała obojętny wyraz. Odebrał z rąk żony półmisek, postawił przed swoim talerzem, nałożył sobie porcję i zabrał się za jedzenie. Po chwili wrócił do rozmowy o zbiorach:

- Martinez pytał mnie dzisiaj, czy będziemy mieli zajęcie dla wszystkich Meksykanów, którzy przyjechali do nas w tym roku. Brakuje mu rąk do pracy, więc zaproponował...

Leslie nie słuchała dalej, co mówi ojciec. Zaskoczona jego reakcją na wzmiankę o starym Blanchardzie, zastanawiała się, o co tu może chodzić.

Kiedy tylko przy stole zapadła cisza, spróbowała wrócić do tematu, którego wcześniej żadne z rodziców wyraźnie . nie chciało podjąć.

- Ten chłopak ma na imię Marcel. Przyjechał z...

- Możesz mi podać jeszcze kawałek pieczeni? - przerwał jej bezceremonialnie ojciec. - Dawno już nie wyszła ci taka dobra - zwrócił się do żony.

- Przyjechał z Francji - ciągnęła Leslie uparcie. - Jego rodzice...

Tym razem tata również nie dał jej skończyć.

- Trzeba mu jakoś pomóc - powiedział do żony, a Leslie domyśliła się, oczywiście, że chodzi o ich sąsiada, pana Martineza, a nie wnuka starego Blancharda. - Dalibyśmy sobie chyba radę, gdyby kilku z naszych ludzi poszło na parę dni do pracy do niego.

- Tato, dlaczego nie dajesz mi skończyć? - zaprotestowała dziewczyna. - Sam mnie uczyłeś, żeby nie przerywać, jak ktoś mówi.

Ojciec przechylił się przez duży dębowy stół i pogłaskał ją po głowie.

- Masz rację, przepraszam. Ale muszę omówić z mamą kilka ważnych spraw.

Jeszcze kilka lat temu Leslie być może uwierzyłaby w to, ale nie teraz, kiedy miała siedemnaście lat i znała go na tyle, by wiedzieć, że nawet jeśli omawia z matką jakieś sprawy, to nie po to, żeby zasięgnąć jej zdania. W tej rodzinie to on decydował o wszystkim i mimo że bardzo go kochała, wiedziała, że gdyby kiedyś jakimś cudem - to naprawdę musiałby być cud - zdecydowała się wyjść za męża, to nigdy nie zgodziłaby się na taki układ.

Wcale nie musiał nic omawiać z mamą. Z jakiegoś powodu nie chciał, żeby rozmowa dotyczyła wnuka starego Blancharda. Co do tego Leslie nie miała wątpliwości.

Zgasiła światło i już podniosła kołdrę, żeby się położyć, ale się rozmyśliła. I tak za chwilę by wstała i podeszła do okna.

Tak było od kilkunastu dni. Co wieczór siadała na parapecie i słuchała meksykańskiej muzyki, dopóki po policzkach nie zaczynały jej cieknąć łzy. Już nie mogła się oszukiwać, że ten dziwny nastrój to wynik napięcia przedmiesiączkowego; okres przecież dawno jej się skończył. Ale nie zastanawiała się, skąd się nagle wzięło u niej to upodobanie do meksykańskiej muzyki, którą dotychczas uważała za cikliwą i sentymentalną.

Gdy siedziała tu wczoraj, przemknęła jej myśl, że zachowuje się dość dziwnie. Kiedy jednak spróbowała odpowiedzieć sobie na pytanie dlaczego, pierwsze wytłumaczenie, które jej się nasunęło, przeraziło ją tak bardzo, że odtąd uparcie odsuwała od siebie takie rozważania.

Dopiero teraz, po tym jak przez całe popołudnie i wieczór pewien chłopak o wielkich ciemnych oczach ani na chwilę nie opuszczał jej myśli, zrozumiała, że nie ma sensu wypierać się przed sobą czegoś tak oczywistego.

Czy jej się to podobało, czy nie, reagowała na Marcela Blancharda tak jak na żadnego innego chłopaka i choć niechętnie się do tego przyznawała, czuła, że nie chodzi tu o zwykłą ciekawość. To było coś więcej. Fascynacja, a może...

Nie, wykluczone, nie ona. Nawet w myślach nie chciała powtórzyć tego słowa.

A to by się Terri ucieszyła, pękłaby ze śmiechu. Leslie i tak ostatnio na każdym kroku musiała się pilnować, żeby nie dawać jej powodów do docinków typu: „No, proszę. Kto by

pomyślał, że na ciebie też przyjdzie kolej. Ale nie przejmuj się, nie ma dziewczyny, która byłaby odporna na zakochanie się. Oczywiście pod warunkiem, że spotka tego jedynego...”

Zawsze kiedy Tern mówiła coś takiego, Leslie uparcie powtarzała, że to bzdury. Teraz nie była już tego taka pewna.

Mi corazón... Usłyszała znajome słowa i nastawiła uszu, żeby wyłować inne, które знаła, i zrozumieć treść piosenki. Nie znała hiszpańskiego najlepiej, ale domyśliła się, że jest to wyznanie miłosne chłopaka zakochanego w dziewczynie, której ojciec zabrania mu się z nią spotykać.

Widać nieszczęśliwi kochankowie trafiają się nie tylko w Weronie, pomyślała.

ROZDZIAŁ 5

Leslie zobaczyła idącego naprzeciw niej Marcela i uśmiechnęła się, zanim zdążył ją zauważyć. Minęły ponad dwa tygodnie, od kiedy pojawił się w ich szkole, lecz chyba nie znalazł sobie jeszcze przyjaciół. Kiedy spotykała go na przerwach, zawsze był sam.

Nie była typem samotnika, ale nie należała również do ludzi, którzy gdziekolwiek się znajdują, natychmiast zawierają znajomości i zawsze są w czyimś towarzystwie. Wolą mieć jednego czy kilku prawdziwych przyjaciół niż mnóstwo znajomych. Jeszcze dwa lata temu miała tylko jedną przyjaciółkę, Terri, i dopiero przed rokiem, kiedy zapisała się do kółka teatralnego, zaprzyjaźniła się z kilkoma dziewczętami i chłopcami.

Pomyślała, że Marcel prawdopodobnie również nie należy do ludzi natychmiast zawierających znajomości.

Wczoraj podczas swojej cwieczornej sesji na parapecie obiecała sobie, że nie będzie się dłużej przejmować tym, co pomyśli Terri, i postara się okazywać mu więcej serdeczności.

- Cześć - powiedział Marcel. Jego usta wygięły się w niepewnym uśmiechu, ale w oczach, jak zawsze, gościł smutek.

- Cześć - rzuciła Leslie i mimo że szła w towarzystwie przyjaciółki, zatrzymała się. - I jak się czujesz w naszej szkole?

- Powoli się przyzwyczajam - odparł Marcel i zawahał się, jakby nie wiedział, czy ma się zatrzymać, czy iść dalej.

Leslie czuła na sobie spojrzenie Terri. Choć stała do niej bokiem i nie widziała jej twarzy, byłaby gotowa założyć się, że przyjaciółka uśmiecha się ironicznie. Postanowiła jednak to zignorować.

- Nie wychodzisz na dziedziniec? - zwróciła się do Marcela. Ona i Terri zmierzały właśnie do wyjścia. W czasie ciepłych wrześnieowych dni większość dziewcząt i chłopców wylęgała na szkolny dziedziniec, żeby spędzić przerwę w cieniu jednego z olbrzymich dębów.

- Idę do biblioteki.

- To cześć. - Leslie, która poczuła się trochę rozczarowana, miała nadzieję, że nie słychać było tego w jej głosie. Odwróciła się i razem z Terri ruszyły w kierunku wyjścia.

Nie uszły jednak więcej niż dziesięć kroków, kiedy usłyszały za sobą szybkie kroki.

- Nie będzie wam przeszkadzało, jak pójdę z wami?! - zawołał Marcel.

Ucieszyła się, lecz w obawie, że tym razem w jej głosie będzie brzmiała radość, nie odezwała się. Na szczęście wyręczyła ją w tym Terri.

- Jasne, że nie. Będzie nam bardzo miło - dodała uprzejmie, zerkając przy tym znacząco na przyjaciółkę. - Prawda, Leslie?

Leslie, przekonana, że Marcel dostrzegł ten jej porozumiewawczy wzrok, miała ochotę ją zamordować. To jednak musiała odłożyć na później. Na razie trzeba było zrobić coś, żeby nie zauważył rumieńca, który zalał jej twarz. Jeszcze nigdy w życiu nie czerwieniła się w obecności chłopaka, a sądząc po pieczeniu policzków, musiała wyglądać jak rak wrzucony do gorącej wody.

Skinęła tylko głową na znak, że ona również się cieszy z jego towarzystwa.

Chłopak zawahał się, zanim poszedł za nimi.

- Na pewno nie będę wam przeszkadzał? Może chcecie same o czymś pogadać?

- Nie, szczerze mówiąc, nawet się cieszę, że z nami pójdziesz. Może dzięki temu moja kochana przyjaciółka nie zagada mnie na śmierć - zażartowała Leslie, zadowolona, że może Terri jakoś odplacić za jej kpiący uśmiešek.

Terri nie należała do ludzi małomównych, ale nie znosiła, kiedy jej się to wypominało. W zeszłym roku strasznie się obraziła, kiedy pisały razem referat o alternatywnych źródłach energii.

- Wiesz to jest okropne marnotrawstwo - powiedziała w pewnym momencie Leslie, kiedy przyjaciółka przerwała na chwilę swój długi monolog na temat chłopaków, bo o chłopakach, oczywiście, lubiła mówić najbardziej.

- Co jest takim marnotrawstwem? - spytała zdziwiona Terri.

- Jeśli ktoś wymyśliłby taki przyrząd, za pomocą którego można by cię było podłączyć do elektrowni, to z twojego gadania starczyłoby prądu dla połowy Kalifornii. Nie przyszło ci do głowy, żeby kiedyś w ten sposób zarabiać na życie?

- Chcesz powiedzieć, że ja dużo mówię? - Terri spojrzała na nią z wyrzutem i oburzeniem.

Teraz również na jej twarzy malowało się oburzenie.

Leslie nie przejęła się tym jednak. Roześmiała się i we trójkę wyszli na szkolny dziedziniec.

Wybrali sobie miejsce pod najwyższym drzewem i ledwie rozłożyli się na trawie, dołączyli do nich Annie Kincaid i Michael Cohen, którzy chodzili z Leslie na zajęcia kółka teatralnego. Przez chwilę rozmawiali o piątkowej próbie, a potem, jak zawsze wtedy, gdy pojawiał się Michael, zrobiło się bardzo wesoło.

Michael był urodzonym komikiem. Podobnie jak Leslie nie podobał mu się wybór „Romea i Julii” na wystawianą w tym roku sztukę, tyle że z zupełnie innych powodów.

Michael marzył o tym, żeby w szkolnym teatrze wystawiono wreszcie komedię. Wtedy z całą pewnością obsadzono by go w głównej roli.

Tymczasem swoimi niewątpliwymi talentami komika musiał się popisywać przed znacznie mniejszą publicznością, tak jak teraz.

Kiedy rozległ się dzwonek, cała słuchająca go czwórka zaśmiewała się do łez. Leslie w pewnym momencie zerknęła na Marcela i po raz pierwszy zobaczyła uśmiech nie tylko ! na jego ustach, ale i w oczach.

- Pamiętasz o sobocie? - zwróciła się do niej Annie, kiedy wchodzili do szkolnego budynku.

Leslie dopiero teraz przypomniała sobie, że Annie obiecała postarać się o bilety na spektakl eksperymentalnej grupy teatralnej z San Francisco, która w sobotę miała występować w Santa Helena.

- Udało ci się zdobyć bilety? Annie skinęła głową.

- Dla ciebie dwa, tak jak prosiłaś.

- Najwyższa pora, żebyś się trochę ukulturalniła - powiedziała Leslie, patrząc na Terri. Ta skrzywiła się jak kot, którego czeka kąpiel.

- W sobotę, mówisz... - Zastanawiała się usilnie i jej przyjaciółka nie miała wątpliwości, że próbuje znaleźć jakiś pretekst, żeby się wykręcić z sobotniego spektaklu. - Eksperymentalny - dodała z taką miną, jakby chodziło o ekskrementy, a nie eksperymenty.

- Owszem, eksperymentalny - potwierdziła Leslie. - I nie próbuj nic kombinować. Jedziesz z nami do Santa Helena i już.

Terri, zrezygnowana, opuściła ramiona, ale nagle jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- W sobotę muszę zostać w domu i pilnować siostry. Mówiłam ci, że rodzice wyjeżdżają na zjazd absolwentów swojego liceum.

Rzeczywiście, Leslie nie mogła temu zaprzeczyć. Terri wspomniała o tym, tyle że miała wtedy zupełnie inną minę. Kiedy wczoraj skarżyła się, że w sobotę będzie się musiała opiekować młodszą siostrą, można było odnieść wrażenie, że traktuje to jak największą karę. Dziś mówiła o tym tak, jakby pilnowanie Amy było jej życiowym marzeniem.

Leslie chciała jej o tym powiedzieć, ale w tym momencie trafiła wzrokiem na stojącego wciąż z nimi Marcela i zrobiła coś, co wydało jej się zupełnie naturalne.

- To może ty się wybierzesz? - zaproponowała.

- Chętnie - odparł bez chwili namysłu.

- Mam tylko nadzieję, że to dla ciebie nie będzie taka katorga jak dla niej - dodała, zerkając na przyjaciółkę.

Marcel uśmiechnął się, a Terri natychmiast zaprotestowała.

- Kto powiedział, że to będzie dla mnie katonga? Naprawdę miałabym ochotę z wami pojechać, ale muszę zostać w domu i pilnować tego nieznośnego bachora.

- Biedactwo - odezwała się Leslie z udawanym współczuciem. - Nawet nie wiesz, jak bardzo mi cię żal.

Terri przyglądała jej się badawczo, nie bardzo wiedząc, czy przyjaciółka naigrawa się z niej, czy mówi poważnie, w końcu ruszyła w stronę sali, w której miały wiedzę o społeczeństwie.

- Idziesz na lekcję czy nie? - spytała, odwracając się przez ramię.

- Już idę - rzuciła Leslie, po czym spojrzała na Marcela. - W piątek umówimy się jakoś z Annie i Michaeliem. Jeśli nie spotkamy się na przerwie, to pogadamy po chemii. Cześć.

- Cześć - powiedział, ale nie ruszył się z miejsca.

Stali, patrząc na siebie, jakby każde z nich chciało coś jeszcze powiedzieć.

Leslie pierwsza przywołała się do porządku.

- Muszę lecieć, cześć.

- Cześć - odpowiedział Marcel i zanim zdążyła się odwrócić, dodał cicho: - I... i dziękuję ci.

- Za co?

- No... za to, że zaproponowałaś, żebym pojechał x wami w sobotę do Santa Helena... i w ogóle za wszystko.

Patrzył na nią tak, że nie była w stanie wydobyć z siebie słowa.

- Nie ma za co - powiedziała w końcu zduszonym z emocji głosem. - Przecież szkoda by było, żeby zmarnował się bilet.

Obróciła się na pięcie i pognała w stronę klasy, zaklinając się w duchu, żeby się nie odwracać.

Gdyby Marcel zobaczył teraz jej twarz, wyczytałby z niej wszystko.

ROZDZIAŁ 6

Oponowy pontiac bez najmniejszego trudu pokonywał wzniesienia wijącej się wśród winnic drogi, prowadzącej do głównej bramy Blanchard Estate. Marcel zdjął nogę z gazu i rozejrzał się.

Przyleciał do Kalifornii prawie trzy tygodnie temu i dopiero dzisiaj zdał sobie sprawę, jak malownicza jest ta okolica. Ostatnie promienie słońca padały na zbocza doliny, nadając jej bajkowy wygląd. Dojrzałe ciemnoniebieskie grona, pokryte srebrzystym nalotem, połyskiwały wśród zielonych liści, gęsto przetykanych szkarłatem.

Patrząc na to bogactwo barw, nie mógł uwierzyć, że rodzi się ono z tak jałowej ziemi. Przypomniał sobie jednak, co opowiadał mu Philippe Blanchard. To właśnie dzięki temu, że jest kamienista, nadaje się tak idealnie do uprawy winogron, które w poszukiwaniu wody zapuszczają korzenie nawet kilka metrów w głąb ziemi, dzięki czemu są odporne na susze i inne niedogodności klimatyczne, jak na przykład niespodziewane wczesnojesienne przymrozki.

Marcela coś podkusiło, żeby wyłączyć klimatyzację. Kiedy otworzył wszystkie okna, do wnętrza samochodu wdarł się zapach róż. Rosnące w idealnie równych rzędach krzaki winnej latorośli w regularnych odstępach przecinały zwarte rzędy różanych krzewów o drobnych czerwonych kwiatach. To one pachniały tak intensywnie.

Philippe Blanchard tłumaczył mu, że nie posadzono ich tu dla ozdoby, lecz po to, by rosnące przy nich owoce nabierały różanego zapachu. Potem, dodane w odpowiedniej proporcji do innych winogron, tworzą to, co nazywa się bukietem wina.

Marcel ze zdziwieniem stwierdził, że po raz pierwszy od dnia, gdy tu zamieszkał, interesuje się swoim nowym otoczeniem. Ten dzień w ogóle był dla niego szczególnie.

Niecałe dwie godziny temu, kiedy stał w szkolnym korytarzu i nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny, uświadomił sobie coś, co go poraziło. Może właśnie dlatego zapach róż wydał mu się teraz tak piękny jak nigdy dotąd.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że zakochał się w dziewczynie, której właściwie nie znał. Coś takiego nie przytrafiło mu się nigdy w życiu. Owszem, podobało mu się w Paryżu kilka dziewcząt, z jedną nawet dwa miesiące chodził, dopóki oboje się nie przekonali, że nie mają ze sobą o czym rozmawiać i potwornie się nudzą w swoim towarzystwie.

Myślał o Leslie już od pierwszego dnia, kiedy zapytał ją w szkole o drogę do sekretariatu. Teraz zdał sobie sprawę, że nie było to przypadkowe, mijał przecież w korytarzu inne dziewczyny i chłopaków, ale zwrócił się właśnie do niej. Nie dlatego, że była

najładniejsza. Mógł, na przykład, zaczepić jej przyjaciółkę, Terri, która też była niebrzydką dziewczyną, i całkiem sympatyczną. Ale to nie jej czarne oczy z figlarnymi błyskami przyciągnęły uwagę Marcela, lecz inne, błękitne, poważne, jakby wciąż zamysłone.

To dzięki Leslie przez ostatnie dwa tygodnie jakoś zwlekał się z łóżka i szedł do szkoły, gdzie wszystko wciąż wydawało mu się obce. Kiedy spotykał ją w czasie przerwy, na chwilę świat wydawał się bardziej przyjazny, ciepły, a potem, gdy znikala mu z oczu, znów wracała pustka i chłód.

Czekał na każde spotkanie z nią jak spragniony człowiek na kroplę wody. Te krople nie gasiły jego pragnienia. Krótkie chwile, kiedy uśmiechali się do siebie uprzejmie i zamieniali zaledwie kilka słów. I oto dzisiaj pojawiła się szansa, że dostanie całą szklanę. Już niedługo. W sobotę będzie mógł spędzić z nią cały wieczór. To nic, że będą z nimi również jej przyjaciele.

A jutro znów zobaczy się z nią w szkole i może wreszcie zbierze się na odwagę i spróbuje porozmawiać z nią trochę dłużej.

Wjechał na ostatni odcinek drogi, wysadzany z obu stron bujnymi drzewami sykomorowymi, których konary łączyły się ponad jezdnią, tworząc gęsty baldachim, nieprzepuszczający promieni słońca.

Przed Marcelem, za kutą z żelaza bramą, wznosił się Blanchard Château. Dotychczas zarówno nazwa - Zamek Blancharda! Jaki normalny człowiek mieszka w zamku? - jak i wygląd tej wystawnej rezydencji budziły w nim niesmak. Dziś po raz pierwszy wydała mu się całkiem ładna.

Zakochani ludzie wszystko widzą inaczej.

ROZDZIAŁ 7

Wychodzisz gdzieś dzisiaj? - zapytała matka w sobotę pod koniec obiadu.

- Tak, mówiłam ci przecież, że jedziemy do Santa Helena na przedstawienie teatru z San Francisco.

- Rzeczywiście, przypominam sobie. Terri też jedzie? Spotkałam wczoraj w supermarkecie jej mamę. Wspomniała, że jedzie w weekend z mężem na jakiś zjazd absolwentów czy coś takiego...

- Tak - potwierdziła Leslie i zamachnęła się łyżką na brata, który próbował podkraść jej z talerza resztkę deseru. - I dlatego Terri nie może jechać - zwróciła się znów do matki. - Musi pilnować siostry.

- To z kim w takim razie jedziesz?

- Z kilkoma osobami z kółka teatralnego, z Annie Kincaid i z Michael'em Cohenem. - Pomijając Marcela, zrobiła to zupełnie instynktownie, nawet o tym nie wiedząc.

Po chwili ojciec wstał od stołu.

- Jadę już - powiedział, zerkając na zegarek. - Już i tak jestem spóźniony. - Wcześniej poinformował żonę, że zaraz po obiedzie musi jechać do Napa na jakieś ważne spotkanie w interesach. - Dziękuję za obiad - rzucił, całując żonę w policzek. Trzymajcie się, dzieciaki, i słuchajcie mamy - dodał, machając ręką córce i Tomowi.

Leslie nie znosiła, kiedy zwracał się do niej tak jak do pięcioletniego dziecka, i za każdym razem obiecywała sobie, że mu o tym powie, nigdy jednak nie zebrała się na odwagę.

Dopiero kiedy wyszedł, zdała sobie sprawę, że nie wspomniała o tym, że do Santa Helena jedzie również Marcel, i wiedziała, że zrobiła to z jego powodu.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie poinformować o tym mamy teraz, w końcu jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Rodzice mieli do niej zaufanie i nie musiała się przed nimi tłumaczyć z każdego swojego kroku.

Nigdy nie przywiązywała nadmiernej uwagi do ubrań i dziś po raz pierwszy w życiu pożałowała tego. Kiedy przejrzała zawartość swojej szafy, stwierdziła, że zupełnie nie ma się w co ubrać.

Nie wybierała się wprawdzie do opery, lecz na spektakl studenckiego teatru, ale zależało jej na tym, żeby wyglądać jakoś szczególnie, a tymczasem w jej garderobie nie było nic poza dżinsami, T - shirtami i bluzami, nie licząc kilku sukienek, które mama kupiła jej na takie okazje jak ślub kuzynki, pogrzeb kogoś z rodziny czy czyjeś chrzciny. Dzisiaj żadna z tych sukienek nie nadawała się do włożenia.

Zerknęła na swój najnowszy nabytek, dzinsy biodrówki, do których dokupiła sobie bardzo efektowny szeroki pleciony pasek. Byłyby niezłe na dzisiejsze wyjście, gdyby udało się znaleźć jakąś odpowiednią górę, ale żaden z T - shirtów się nie nadawał. Były luźne i trudno by je było wsunąć w obcisłe dzinsy, a przecież nie po to nosi się biodrówki i ładne paski, żeby wszystko zakrywać.

Leslie długo się zastanawiała, w końcu uznała, że nie ma innego wyjścia, i zadzwoniła do Terri.

- Nie mam się w co ubrać! - zawołała z rozpaczą, kiedy tylko usłyszała w słuchawce głos przyjaciółki.

- A od kiedy to ty się przejmujesz ciuchami? - spytała Terri ironicznym tonem.

Lesli właśnie dlatego tak długo zwlekała z tym telefonem. Doskonale przewidziała jej reakcję, ale nie doceniła Terri. Bo ta, kiedy tylko zdała sobie sprawę, że przyjaciółka jest naprawdę w potrzebie, natychmiast zrezygnowała z docinków.

- Jestem u ciebie za dziesięć minut.

- A Amy? Nie musisz jej pilnować?

- Nic jej się nie stanie, jeśli przez pół godziny posiedzi sama. Zresztą mogę ją wziąć ze sobą.

Posiadłość Kimberlych graniczyła z ziemiami Medranów od południa. Ich domy były oddalone od siebie o niecałe cztery kilometry. Leslie nie wierzyła, że przyjaciółka zjawi się tak szybko, jak obiecywała, ale równo dziesięć minut po tym, jak odłożyła słuchawkę usłyszała na podjeździe pisk opon i kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła terenową toyotę, z której wysiadła najpierw ruda dziewczynka ze sterczącymi kucykami i większym od niej fioletowym pluszowym misiem pod pachą, a potem jej starsza siostra.

Terri otworzyła klapę z tyłu samochodu i wyjęła olbrzymi kosz ze stertą ubrań.

Leslie otworzyła przyjaciółce drzwi, zanim ta sięgnęła do dzwonka.

- Jesteś kochana! - Chciała się jej rzucić na szyję, ale wielki kosz skutecznie je rozdzielał. - Cześć, Amy - zwróciła się do rudowłosej dziewczynki. - Ale masz ślicznego misia.

- To nie jest miś, tylko pan Puf - oświadczyła Amy, wyraźnie oburzona jej ignorancją.

- Tak? - zdziwiła się Leslie uprzejmie. Przysięgłaby że fioletowa przytulanka wygląda jak zwyczajny pluszowy miś.

Terri ponad głowę siostry dała przyjaciółce znak, żeby się nie przejmowała małą, bo ta ma nie po kolei w głowie.

- O której musisz być gotowa? - spytała.

- Za niecałą godzinę.

Na twarzy Terri odmalowało się przerażenie.

- I jeszcze nie wiesz, co włożyć? No tak. Pytam, jakbym cię nie znała.

Leslie spojrzała na nią ze skruszoną miną. Ile to razy przyjaciółka mówiła jej, że powinna wreszcie zacząć zwracać uwagę na ciuchy? Zawsze wtedy odpowiadała z dumą, że nie będzie się zniżać do myślenia o tak przyziemnych rzeczach. A tu proszę!

Czekała, aż na twarzy Terri pojawi się wyraz triumfu. Nic takiego jednak nie zobaczyła i po raz kolejny w życiu zrozumiała, na czym polega prawdziwa przyjaźń.

- Dobra - rzuciła Terri. - Włącz jej jakiś kanał z kreskówkami - skinęła głową, wskazując na siostrę - a my idziemy do twojego pokoju mierzyć.

Leslie naciskała chwilę klawisze na pilocie, w końcu kiedy na ekranie ukazały się jakieś mało sympatyczne potworki, ni to krasnale, ni to gnomy, posadziła Amy na kanapie przed telewizorem.

- Posiedź tu, a my zaraz wrócimy - poprosiła Terri małą.

Niosąc razem z Leslie kosz z ciuchami, weszły właśnie na pierwsze piętro, kiedy z dołu dobiegł je krzyk:

- Pan Puf nie chce tego oglądać! Leslie spojrzała pytająco na przyjaciółkę. Ta przez chwilę wahała się.

- Olewamy ją - zdecydowała w końcu. - A jak gówniara dorośnie, to ją zabiję. Teraz uznaliby mnie za potwora. Ale mówię ci, jak będzie dorosła, każdy mnie zrozumie.

Leslie roześmiała się.

- Wiesz co, pójdę jednak, puszczę temu panu Pufowi coś innego. Mnie, szczerze mówiąc, ta kreskówka też się nie podobała.

Zbiegła na dół i włączyła kanał Animal Planet. Po wyrazie twarzy pana Pufa nie mogła się zorientować, czy film o dwóch niedźwiadkach, baraszkujących przy swojej mamie, jest w jego guście, ale Amy w każdym razie nie protestowała.

Kiedy pół godziny później zeszły na dół, Leslie w swoich nowych dżinsach z odjazdowym paskiem i jakby zaprojektowanej do nich obcisłej czarnej bluzce z delikatnym srebrnym nadrukiem, pan Puf i jego mała rudowłosa przyjaciółka siedzieli wpatrzni w ekran, na którym teraz nieco już większe niedźwiadki pluskały się w wodzie, próbując złowić łososie.

- Jedziemy, Amy - zarekomendowała Terri. Mała niechętnie wstała z kanapy.

Leslie odprowadziła je do wyjścia. Za drzwiami objęła przyjaciółkę.

- Wiesz... - Zabrakło jej słów.

- Wiem - rzuciła Terri i zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. - Wyglądasz... wyglądasz po prostu...

- Super - skończyła za nią Amy.

Zaskoczona Terri spojrzała na siostrę, a Leslie roześmiała się.

- Pan Puf też tak uważa? - spytała.

Mała z całą powagą spojrzała na swojego fioletowego pluszaka, po czym pokiwała głową.

No, skoro pan Puf tak uważa... To może panu Marcelowi Bianchardowi też się trochę spodoba, dokończyła w myślach.

ROZDZIAŁ 8

Było naprawdę pyszne - powiedział Marcel, wstając od stołu.

Czarne oczy Marii zabłyśły z zadowolenia. Nic nie sprawiało jej takiej przyjemności, jak to, że ktoś docenia jej talenty kulinarne. Przez trzydzieści lat, jakie spędziła w tym domu, stary pan Blanchard nigdy jej nie pochwalił. Ale czy on w ogóle kiedykolwiek kogoś pochwalił? Maria pogodziła się już z tym, że jej starania w kuchni pozostaną niezauważone. Wystarczyło jej to, że wciąż pracowała w tym pięknym domu, zwłaszcza że pierwszego dnia pracodawca poinformował ją, że jej dwie poprzedniczki wyleciały po miesiącu, bo nie znały się na gotowaniu.

- Zrobiłam to specjalnie dla ciebie. Pewnie brakuje ci francuskiej kuchni.

- Bardzo dziękuję - odparł chłopak, chociaż nie bardzo wiedział, co to jest francuska kuchnia. Jego mama wracała po pracy późnym wieczorem i cała rodzina żywiła się zwykle gotowymi daniami z zamrażarki. - Ale tak szczerze mówiąc, to akurat tamtego jedzenia najmniej mi brakuje.

- Zostaw to - poprosiła Maria, widząc, że Marcel zbiera ze stołu talerze i sztucce. Jeszcze by tego brakowało, żeby stary pan Blanchard zobaczył, że jego wnuk pomaga w kuchennych pracach. Miałaby się wtedy z pyszna!

- Ale ja naprawdę chętnie pomogę. - Tak samo jak pierwszego dnia, bardzo źle się czuł ze świadomością, że jest obsługiwany. - Mam co najmniej dwie godziny wolnego czasu.

Maria rozejrzała się. Jej pracodawca wyszedł z domu, ledwie skończył jeść obiad, i zapowiedział, że przed kolacją nie wróci. Nie dowie się więc, że wnuk wykonuje zajęcie niegodne dziedzica takiej fortuny. Nie potrzebowała pomocnika. Mimo że niedawno skończyła sześćdziesiątkę, sił miała wciąż tyle samo co przed trzydziestu laty, kiedy zaczęła tu pracować.

Ona nie potrzebowała pomocy, ale on na pewno jej potrzebował. Widziała to już tego dnia, gdy pan Blanchard przywiózł wnuka z lotniska w San Francisco. Nie miała dotąd pojęcia, że na takiej drobnej młodej twarzy może się pomieścić tyle smutku. W życiu nie widziała kogoś tak zagubionego.

Od tej chwili bacznie obserwowała swojego pracodawcę. Ten oschły stary człowiek prawdopodobnie nigdy nie otworzył przed nikim swojej duszy. Wśród pracowników Blanchard Estate krążyły różne plotki na jego temat, ale Maria nigdy ich nie powtarzała, a z czasem przestała nawet słuchać. Cokolwiek można było powiedzieć o jej chlebodawcy, według niej, przynajmniej z jednego powodu zasługiwał na szacunek - był sprawiedliwy i

nigdy nie wymagał od ludzi więcej niż od siebie.

Kiedy jednak cztery tygodnie temu zobaczyła tę kupkę nieszczęścia, jaką był Marcel wysiadający z limuzyny dziadka, pomyślała, że tu sama sprawiedliwość nie wystarczy. Żeby przywrócić tego biednego chłopca do życia, trzeba było znacznie więcej. Miłości.

Maria intuicyjnie czuła, że starszy pan kocha wnuka, i miała nadzieję, że tragedia, która się wydarzyła, coś odmieni. Może ten zgorzkniały człowiek zrozumie wreszcie, że nie wystarczy kochać, że trzeba jeszcze umieć to okazać.

Philippe Blanchard nie potrafił jej okazać synowi, jak bowiem inaczej można było tłumaczyć to, że nie odzywali się do siebie przez tyle lat? A musiał kochać syna. Cokolwiek wypisywano w gazetach o matkach mordujących swoje potomstwo, ojcach maltretujących dzieci i innych strasznych rzeczach, Maria wiedziała, że każdy normalny człowiek musi kochać swoje dziecko. A Philippe Blanchard nie był dla niej szaleńcem czy zwyrodnialcem. Był po prostu nieszczęśliwym człowiekiem, który z jakichś powodów chował przed światem własne uczucia.

Na to, żeby okazać je synowi, było za późno, ale pozostał jeszcze wnuk.

Widziała, że starszy pan próbuje zapewnić chłopcu jak najlepsze warunki, poświęca mu czas, co należało docenić zwłaszcza teraz, w okresie winobrania, kiedy wprost dwoił się i troił, żeby wszystko sprawnie przebiegało. Pozostał jednak tym samym, zamkniętym w sobie człowiekiem, na którego twarzy na próżno można było szukać śladów ciepła czy uczucia.

Nie traciła nadziei, że to się zmieni, lecz na razie to ona powinna się postarać, żeby chłopak dostał to, czego potrzebował najbardziej. Nie musiała się przy tym w ogóle wysilać; polubiła go od pierwszego wejrzenia.

I kiedy teraz podeszła do Marcela i przytuliła go, zrobiła to, na co miała ochotę, kiedy tylko go zobaczyła.

- To chodź ze mną do kuchni, coś ci pokażę. Chłopiec podążył za nią i z ciekawością patrzył, jak Maria zdejmuje z półki jakąś starą książkę, tak ciężką, że jej silne dłonie ledwie ją trzymały.

- Znalazłam to na strychu między starymi rupieciami - oznajmiła, kładąc księgę na stole przed chłopcem.

Miejscami poprzecierane płótno, w które była oprawiona, straciło ze starości barwę, tak że nie dało się stwierdzić, jaka była pierwotnie. Z tłoczonych liter na okładce pozostały tylko ciemniejsze ślady.

Zaciekawiony chłopak otworzył książkę. Na pożółkłej stronie tytułowej zobaczył napis *Cuisine Française*, a niżej *Paris, 1908*. Francuska książka kucharska z początku

zeszłego wieku.

Niemal z nabożną czcią Marcel zaczął odwracać kartki, jakby się bał, że księga za chwilę się rozleci. Na kolejnych stronach ujrzał napisane ozdobnym drukiem nazwy potraw. Niektóre obły mu się o uszy, ale o większości nawet nie słyszał.

- Skąd ona się tu wzięła? - spytał.

Maria nie słuchała już od jakiegoś czasu plotek o Blanchardach, ale trudno pracować dla kogoś przez trzydzieści lat i nie wiedzieć niczego o historii jego rodziny.

- Prawdopodobnie twoja prababka przywiozła ją ze sobą z Francji, kiedy mąż ją tu przywiózł po pierwszej wojnie światowej.

Marcelowi zawsze się wydawało, że rodzina to on, mama i tata. Kiedy słyszał albo czytał o ludziach, którzy szukają swoich korzeni, nie bardzo wiedział, o co chodzi. Dziś po raz pierwszy, dzięki tej wyblakłej ze starości książce, zaczął ich trochę rozumieć.

Przewracał kolejne kartki, ale przed oczami miał obraz mamy i taty. Dla nich też w którymś momencie ich życia rodziną musiał być ojciec i matka. Tata, myśląc o rodzinie, musiał mieć przed oczami twarz swojego ojca, Philippe'a Blancharda. Człowieka, którego Marcel nawet w myślach nie nazwał jeszcze dziadkiem...

Przeróżne myśli leży mu się w głowie. Nie był w stanie ich uporządkować, zresztą nawet nie próbował tego robić. Żeby jakoś opanować ten mętlik, skupił się na książce. Na kolejnej stronie była stara rycina przedstawiająca wnętrze kuchni z początku wieku.

Mimo usilnych prób Marcel nie mógł opanować wzruszenia.

Maria widziała, że chłopak walczy ze łzami. Chciała mu powiedzieć, że płkanie wcale nie jest powodem do wstydu, że łzy nie muszą być oznaką słabości, ale pogłaskała go tylko po policzku, bo instynktownie poczuła, że ten ciepły gest jest mu teraz bardziej potrzebny niż jakiegokolwiek słowa.

- Piękne, prawda? - spytał, wskazując na starą rycinę.

- Hmm - przytaknęła, po czym wskazała palcem na ozdobne litery. - A co tu jest napisane?

- *Canard a'l orange* - przeczytał Marcel i widząc przerażoną minę Marii, przetłumaczył nazwę tej potrawy na angielski: - Kaczka w pomarańczy.

- Aha - ucieszyła się. Robiłam to kilka razy dla twojego dziadka. - Nie umknęło jej uwagi, że chłopiec, zwracając się do niego, nigdy go tak nie nazywa. - Jak chcesz... - Przejrzała w myślach zawartość lodówki i zamrażarki. - Tak, gdybyś miał ochotę, mogłabym ci to przyrządzić nawet dzisiaj na kolację.

Marcel uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Dziękuję. Uwielbiam kaczkę pod każdą postacią, ale dzisiaj nie będę na kolacji.

Zaskoczona Maria spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Gdzieś wychodzisz? - Zaczęła się już martwić tym, że chłopak nie znalazł sobie jeszcze ani jednego kolegi. Po powrocie ze szkoły siedział sam w swoim pokoju; nikt do niego nie dzwonił, i z tego, co widziała, on również z nikim się nie kontaktował.

- Tak. Jadę z kilkoma osobami do Santa Helena na spektakl jakiegoś teatru z San Francisco. Potem pewnie skoczmy gdzieś do baru na pizzę albo hamburgery.

Maria w jakiejś innej sytuacji miałaby żal, że ktoś przedkłada pizzę albo jakiś - nie mogła sobie przypomnieć, jak na to teraz mówią, ale po chwili przypomniała sobie tę nazwę - fast food nad jej dania, lecz teraz ucieszyła się.

- Hmm - powiedziała z zadowoloną miną. Miała ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o tym, z kim Marcel jedzie, bała się jednak, że jeśli zacznie go wypytywać, uzna ją za zbyt wścibską.

Warto było poczekać. Przez jakiś czas w kuchni panowała cisza. Chłopak przewracał kartki książki, ale widać było, że myśli zupełnie o czymś innym.

- W mojej szkole jest kółko teatralne - odezwał się po kilku minutach. - Poznałem kilka osób, które do niego należą, i jadę właśnie z nimi.

- Aha, - Maria skinęła głową. Czowała, że nie powiedział jej wszystkiego, postanowiła jednak powściągnąć ciekawość.

Również tym razem opłaciło jej się to. Marcel przerzucił kilka kolejnych kartek.

- Do tego kółka należy jedna dziewczyna - powiedział cicho.

Miała nadzieję, że coś takiego usłyszy. Spojrzała na niego, czekając, aż sam zacznie mówić dalej.

Już jej się wydawało, że Marcel nic więcej nie powie, kiedy nagle, przerzuciwszy szybko kolejnych kilkanaście stron, odezwał się jeszcze ciszej.

- Jest bardzo fajna...

Maria bała się cokolwiek powiedzieć w obawie, że chłopiec się spłoszy i znowu zamknie się w swojej skorupie.

- I bardzo ładna - dodał, przewracając coraz szybciej kartki. Podniósł wzrok znad starej książki kucharskiej i spojrzał Marii w oczy. - Nazywa się Leslie.

Maria miała ponad sześćdziesiąt lat, czasy młodości pozostały za nią tak daleko, że pozostał tylko ich mglisty obraz, ale nawet gdyby miała sto lat albo i więcej, wiedziałaby, że takim głosem wymawia się tylko imię osoby, którą się kocha.

Zrobiło jej się ciepło wokół serca. To dobrze, że tego biednego chłopca spotkało coś

takiego, pomyślała. Ale już za chwilę musiała się bardzo starać, żeby ukryć przerażenie na swojej twarzy.

- Leslie Medrano - dodał.

Odwróciła się do zlewozmywaka i odkręciła kurek z wodą. Kuchnia była wyposażona supernowocześnie, ale starej sewskiej porcelany nie można było wkładać do zmywarki.

- Może ja będę wycierać - zaofiarował się Marcel i nie czekając na zgodę Marii, chwycił czystą ścierkę.

Znając wartość tej zastawy stołowej - w Paryżu o porcelanie z Sevres czytał tylko w książkach - ostrożnie, jakby miał do czynienia z eksponatem w muzeum, wziął do ręki talerz i znów zwrócił się do Marii:

- Winnica jej rodziców graniczy podobno z ziemiami należącymi do Blanchard Estate. Na pewno słyszałaś o Medranach?

Owszem, słyszała i właśnie dlatego tak się wystraszyła, kiedy usłyszała to nazwisko.

Boże, ten chłopiec i tak przeszedł już swoje. Nie pozwól, żeby miał jeszcze cierpieć z powodu jakiś zadawnionych bezsensownych kłótni.

Maria, jak większość jej rodaków, była katoliczką. Już myślała, że lata spędzone w Kalifornii, gdzie podejście do religii jest zupełnie inne niż w Meksyku, osłabiły jej wiarę, ale teraz modliła się do Boga, żeby oszczędził bólu temu chłopcu, równie gorliwie jak w kościele w swojej rodzinnej wiosce pod Tijuana.

ROZDZIAŁ 9

Marcel skręcił w drogę prowadzącą do domu Medranów. Chociaż noc dzięki pełni księżyca była wyjątkowo jasna, żeby bezpiecznie pokonać ostre zakręty i strome wzniesienia, musiał jechać bardzo wolno.

Przed kwadransem odwieźli do domów Annie i Michaela i wreszcie zostali sami. W piątek po lekcjach długo zastanawiali się, czym samochodem pojedą na przedstawienie. Stara honda Leslie była dla czterech osób trochę za mała, Annie w ogóle nie prowadziła, a Michael przyznał się, że jego pick - up ostatnio często nawala. W końcu stanęło na tym, że wybiorą się na przedstawienie pontikiem Marcela.

Bardzo się z tego ucieszył, i to nie dlatego, że chciał się pochwalić swoim srebrnym cudem. Wręcz przeciwnie;

czuł się trochę głupio, parkując przed szkołą obok starych zdezelowanych pick - upów i innych niedrogich samochodów, którymi przyjeżdżali pozostali uczniowie.

Nie, nie chodziło mu o szpanowanie. Zależało mu tylko na tym, żeby jak najdłużej побыć z Leslie, a wiedział, że jeśli pojedą jego wozem, to będzie mógł po nią pierwszą podjechać, a potem, po spektaklu, odwieźć ją do domu jako ostatnią.

I tak się właśnie stało.

Marcel nie był jakimś wyjątkowym miłośnikiem teatru i przedstawienie w Santa Helena w najmniejszym stopniu nie zmieniło jego nastawienia do tej dziedziny sztuki.

Wychodząc z niewielkiej sali, w której specjalnie na dzisiejszą okazję ustawiono prowizoryczną scenę, był rozczarowany, ale postanowił nie okazać tego Leslie. Obawiał się, że może ją w ten sposób do siebie zrazić. Okazało się jednak, że zarówno ona, jak i pozostała dwójka również nie jest zachwycona spektaklem, nie musiał więc udawać.

- Przepraszam, że cię wyciągnęłam na taką lipę - powiedziała teraz, zerkając kątem oka na Marcela.

- Co ty?! Było wspaniale. Roześmiała się.

- Nie kłam, widziałam, że ci się nie podoba. Zresztą trudno się dziwić.

- Nie mówię o przedstawieniu - sprostował. Zwolnił jeszcze bardziej, bo pontiac podskoczył na wyboju. Na tej krętej nierównej drodze powinien się skupić na prowadzeniu, a tymczasem całą jego uwagę przyciągała siedząca obok dziewczyna i to, co chciał jej dzisiaj powiedzieć. Kiedy samochód podskoczył po raz drugi, zatrzymał się i zanim wyłączył silnik, opuścił szyby.

- Dlaczego stanąłeś? - zdziwiła się. - Coś się stało? Zamiast odpowiedzieć, wciągnął

głęboko do płuc świeże nocne powietrze.

- Czujesz to? - spytał.

- Co? - Wychyliła głowę za okno. - Chodzi ci o róże? - Rosły w tej części winnicy od zawsze, ale jeszcze nigdy ich woń nie wydawała jej się tak upojna.

Marcel skinął głową i przez chwilę siedzieli, wdychając oszałamiający zapach i wsłuchując się w magiczną ciszę.

Leslie instynktownie wiedziała, że ta cisza za chwilę zostanie przerwana, co więcej, wiedziała, co usłyszy. Z jednej strony nie mogła się tego doczekać, a z drugiej chciała odwlec ten moment.

- Chyba się w tobie zakochałem - powiedział Marcel szybciej, niż się tego spodziewała.

Tego samego dnia, kiedy zrozumiała, że jest w nim zakochana, zdała sobie również sprawę, że i on coś do niej czuje. Nie należała do dziewcząt, którym wystarczy kilka powłóczyстых spojrzeń chłopaka czy parę komplementów, żeby na tej podstawie budować sobie teorie o tym, jak bardzo za nią szaleje. Była raczej nieufna i w zeszłym roku uśmiechała się tylko, gdy szkolny przystojniaczek Brian Douglas chodził za nią przez tydzień i groził, że się powiesi, jeśli się z nim nie umówi. Nie powiesił się, a parę dni później już się uganiał za Caroline Northon.

Kiedy niedawno uświadomiła sobie, że Marcel jest w niej zakochany, nawet nie próbowała zastanawiać się nad tym, skąd to wie. Po prostu wiedziała.

- Myślisz pewnie, że jestem szalony - szepnął, zanim zdążyła się odezwać.

Przemknęło jej przez głowę, że nie powinna się zdradzać ze swoimi uczuciami, że może ukrywając je, przynajmniej przez jakiś czas, sprawi, że będzie mu na niej jeszcze bardziej zależało. Spojrzała jednak na jego poważną twarz i odrzuciła tę myśl. Nawet jeśli są chłopcy, z którymi powinno się tak postępować, to Marcel z pewnością do nich nie należał. I znów nie wiedziała, skąd to wie. Wiedziała, i tyle.

- Nie, chyba nie jesteś szalony - powiedziała. - Bo jeżeli byłaby to prawda... - przerwała, jakby chciała się jeszcze przygotować do tego wyznania - ...to by oznaczało, że ja też jestem szalona - dokończyła drżącym z emocji głosem.

Przez chwilę w samochodzie panowała tak głęboka cisza, że słyszeli nawzajem swoje oddechy i uderzenia serc.

Wreszcie Marcel, który dotychczas patrzył przed siebie, trzymając ręce na kierownicy, odwrócił się twarzą do Leslie.

- Dobrze zrozumiałem twoje słowa? Chciałaś powiedzieć...? Chciałaś powiedzieć,

że...? - Miał nadzieję, że odwzajemnia jego uczucie, ale teraz, kiedy to usłyszał, jeśli oczywiście to miała na myśli, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. - Powiedziałaś...

- Tak, powiedziałam, że chyba też jestem w tobie zakochana.

Patrzył na nią z otwartymi ustami, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

Leslie pierwszy raz w życiu widziała chłopaka, który mimo rozdziawionej buzi wcale nie sprawiał wrażenia kompletnego idioty. Przyszło jej wprawdzie do głowy, że sama musi wyglądać niezbyt inteligentnie, ale zanim zdążyła pomyśleć, że trzeba by coś z tym zrobić, nie była już w stanie myśleć o niczym.

Marcel przechylił się w stronę jej siedzenia i delikatnie ujął w obie dłonie jej twarz. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem on pochylił się jeszcze bardziej, ona przesunęła się w jego stronę i ich usta połączyły się w pocałunku. Bardziej oszałamiającym niż zapach róż, który stał się jeszcze intensywniejszy, gdy nagle powiał silniejszy wiatr.

Kiedy oderwali się od siebie, Leslie nie była w stanie złapać tchu. Spojrzała na niebo i nie wierzyła własnym oczom. Księżyc i gwiazdy były w tym samym miejscu co kilka minut temu, a jej wydawało się, że w czasie tego pocałunku wszystkie planety powypadały ze swoich orbit.

- To niesamowite - powiedział Marcel. - Ujął jej dłoń i przytulił do swojego policzka.

- Jak pomyślę, że gdybym nie zjawił się w Kalifornii, to nigdy bym cię nie poznał... Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie byłoby mnie tu, gdyby... - Głos mu się załamał i w samochodzie znów zapadła cisza.

Leslie domyśliła się, jak bolesne musi być dla niego to, co chciał powiedzieć. Teraz ona wzięła w obie ręce jego dłonie i trzymała mocno, jakby chciała w ten sposób przejąć część jego bólu na siebie. I jeśli suma wszystkich cierpień ma świecie jest niezmienna, to pewnie jej się to udało, bo kiedy Marcel znów zaczął mówić, opowiadając o tragedii, która spotkała jego rodziców, bolało ją tak bardzo, że nie była w stanie zapanować nad łzami.

- Nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała - powiedział, widząc jej mokre policzki. - To miał być miły wieczór.

- Był. To był najcudowniejszy wieczór w moim życiu. - Kiedy to powiedziała, jej wzrok zatrzymał się przypadkiem na zegarku na desce rozdzielczej. Fluorescencyjne cyferki zamigały i pojawiły się cztery zera. - O, Boże - westchnęła z żalem. Już jest dwunasta. Obiecałam mamie, że będę koło jedenastej. Na pewno się martwi. Musimy jechać.

Marcel przekręcił kluczyk w stacyjce, ale nie ruszył. Znów wyłączył silnik, objął Lessie i pocałował ją. Tym razem pocałunek nie był już taki długi, ale gdyby ją ktoś zapytał, nie potrafiłaby odpowiedzieć, który jej się podobał bardziej. Miała przed sobą całą noc, żeby

się nad tym zastanawiać.

ROZDZIAŁ 10

Wbiegła do domu lekka, jakby nagle wyrosły jej skrzydła. Wiedziała, że mama będzie miała do niej pretensje o spóźnienie, ale w końcu zrozumie.

Kiedy tylko weszła do salonu, zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Matka z grobową miną siedziała na fotelu przy kominku, a ojciec chodził po pokoju jak lew po klatce.

- Przepraszam, że tak późno, ale przedstawienie trwało do dziewiątej, potem poszliśmy na pizzę, a później się zagadałam. - Jej bez troski ton ulatniał się w miarę, jak mówiła. Ostatnie słowa, wystraszona gniewnym spojrzeniem taty, powiedziała już prawie szeptem.

Ojciec wciąż przemierzał salon w tę i we w tę. Matka rzucała lękliwe spojrzenia to na niego, to na córkę.

- Przepraszam - powtórzyła dziewczyna. - Wiem, że się martwiliście, ale zupełnie niepotrzebnie. Nic mi się nie mogło stać, nie byłam przecież sama.

- Właśnie - rzucił ojciec wściekłym głosem. Domyśliła się, że nie chodzi mu o spóźnienie.

- Dlaczego okłamałaś matkę? - zaryczał.

Zerknęła na mamę. Ta podniosła się z fotela i podeszła do męża, który w swojej wędrówce doszedł właśnie do drugiego końca salonu.

- Toni, mówiłam ci, że to nie jest tak, jak myślisz.

- Prosiłem cię, żebyś mi nie przerywała, jak będę z nią rozmawiać. - Spojrzał na żonę takim wzrokiem, że bez słowa wróciła do kominka i skulona usiadła w fotelu, po czym zwrócił się do córki: - Mama cię pytała, z kim dzisiaj jedziesz, prawda?

Leslie skinęła głową.

- I co jej powiedziałaś? - Ojciec, niczym detektyw z FBI, dalej prowadził dochodzenie, tyle że gdyby federalni zwracali się takim tonem do osób, które przesłuchują, nie opędziliby się od ataków obrońców praw człowieka.

- Prawdę.

- Powiedziałaś, że jedziesz z córką Kincaidów i chłopakiem Cohenów.

Dawno temu przestała już protestować przeciwko temu, że tata w ten sposób mówi o jej koleżankach i kolegach, tak jakby nie mógł zapamiętać ich imion.

- Tak - przyznała. Powoli zaczęła rozumieć, o co ojcu chodzi.

- Dlaczego ją okłamałaś?

Matka wstała z fotela, ale zanim zdążyła się odezwać, mąż uniósł dłoń na znak, żeby

się nie wtrącała.

- Nie skłamałam - zaprotestowała Leslie. Kiedy rozmawiała po obiedzie z mamą, nie wspomniała o Marcelu, ale gdyby zapytała, czy ktoś jeszcze z nimi jedzie, na pewno powiedziałyby prawdę. - Po prostu nie sądziłam, że chce tak dokładnie wiedzieć, kto jeszcze jedzie.

- Po prostu nie sądziłaś! - powtórzył ojciec, mierząc ją oskarżycielskim wzrokiem.

- Owszem, nie przyszło mi to do głowy - Strach zaczął się w niej stopniowo przeradzać w złość. - Nie wmawiaj mi, że kłamie!

- A ty nie podnoś na mnie głosu.

Leslie uświadomiła sobie, że rzeczywiście krzyknęła do ojca i że zrobiła to po raz pierwszy w życiu.

- Dlaczego nie przyznałaś się, że jedziesz z chłopakiem Blancharda?

- Z Marcelem Blanchardem - powiedziała cicho, ale wolno i wyraźnie. Właśnie, dlaczego? Może intuicyjnie czuła, że nie powinna tego robić.

Ojciec patrzył na nią wyczekująco, więc wzruszyła ramionami i dodała:

- Nie wiem, pewnie uznałam, że nie muszę się spowiadać ze wszystkiego.

- No to niniejszym oświadczam ci, że musisz. Od dzisiaj masz mówić, z kim i dokąd się wybierasz.

Skinęła głową. Była zła na ojca i miała żal do mamy, że nie stanęła w jej obronie. Ale w końcu czego mogła się spodziewać? Ona jeszcze nigdy nie sprzeciwiła się mężowi.

Unikając wzroku taty, zerknęła na nią z wyrzutem.

- Pójdę już do siebie - oznajmiła obrażonym głosem. - Dobranoc.

Nie doszła jeszcze do schodów, kiedy zatrzymał ją wciąż gniewny głos ojca.

- A z tym chłopakiem Blancharda w ogóle nie wolno ci się spotykać.

Leslie poczuła się tak, jakby poraził ją piorun. Stała, zastanawiając się, czy się nie przesłyszała. Wreszcie się odwróciła i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie możesz mi zabronić...

- Mogę, i właśnie to robię.

- Toni, porozmawiajmy o tym spokojnie - wtrąciła się matka. - Jesteś zdenerwowany, może jutro zastanowisz się nad tym na spokojnie.

- Nie będę się nad niczym zastanawiał! - zagrzmiał. - Zabraniam ci się z nim spotykać.

Leslie tylko raz w życiu widziała go tak wściekłego. Trzy lata temu jeden z pracowników, odpowiedzialny za przygotowanie urządzeń do produkcji wina, nie dopilnował czyszczenia kadzi, w których przechowywano sok z winogron, zanim przelewano go do

dębowych beczulek. W rezultacie zmarnowała się ponad połowa rocznych zbiorów, bo skisnięty płyn nie nadawał się nawet na ocet.

- Dlaczego?! - spytała, zalewając się łzami, ale widząc zaciętą twarz ojca, domyśliła się, że nie uzyska odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 11

I o której jutro po ciebie przyjechać? - zapytał Marcel, kiedy trzymając się za rękę, szli w piątek po lekcjach przez szkolny parking.

Już dłużej nie można było tego odwlekać. Musiała się wreszcie zdobyć na odwagę i powiedzieć mu całą prawdę. Od poniedziałku codziennie jeździła do szkoły, powtarzając sobie po drodze, że to zrobi. Nie zdobyła się na to ani w poniedziałek, ani we wtorek, ani w środę, ani w czwartek.

Zrobi to teraz. Ale kiedy popatrzyła na jego rozjaśnioną szczęściem twarz, starannie przygotowane słowa, które od kilku dni powtarzała w myślach - co jakiś czas wprowadzając drobne zmiany - nie chciały jej przejść przez gardło. Jak mogła mu powiedzieć, że nie spotka się z nim jutro, bo ojciec jej zabronił?

Nie wiedziała przecież nawet, o co w tym wszystkim chodzi. W niedzielę przy śniadaniu postanowiła porozmawiać z tatą, ale ucinał wszelkie dyskusje na ten temat. Używał wprawdzie innych słów, ale i tak jego odpowiedzi sprowadzały się do „nie, bo nie”. Wydawał się głuchy na argumenty córki, która tłumaczyła mu, że nawet jeśli się czegoś zabrania pięcioletnim dzieciom, to wyjaśnia im się dlaczego. Ojciec trwał jednak przy swoim „nie, bo nie” i minę miał przy tym taką, że zrezygnowała z dalszych prób przekonywania go.

Wiedziała, że w ich rodzinie to on o wszystkim decyduje, mimo to zwróciła się o pomoc do mamy. Nie liczyła bardzo na to, że jej interwencja - zakładając oczywiście, że w ogóle zdecyduje się wstawić za córką u męża - coś da, ale nie mogła nie skorzystać z ostatniej deski ratunku.

- Wiesz jaki jest tata - odparła matka. - Jeśli się na coś uprze...

- Wiem, ale to jest dla mnie bardzo ważne.

- Przecież masz innych kolegów i koleżanki. Dlaczego musisz się spotykać akurat z nim? - spytała mama i zanim zadała to pytanie, znalazła odpowiedź w oczach córki.

Przez chwilę obie milczały, w końcu matka odezwała się zaniepokojonym głosem:

- To nie może być aż tak poważne. Przecież znacie się dopiero od niedawna.

Jeszcze miesiąc temu Leslie uznałaby ten argument za sensowny, jeszcze miesiąc temu sama mogłaby powiedzieć podobne słowa.

Ale teraz, ze łzami w oczach, wyznała:

- To jest poważne, mamó. To jest bardzo poważne.

Leslie nie była pewna, czy mama podjęła próbę przekonania ojca, ale nawet jeśli to zrobiła, to nic nie wskórała, bo dwa dni później powiedziała do córki:

- Posłuchaj, kochanie, radziłabym ci trochę poczekać. Może za jakiś czas tata trochę się uspokoi i wszystko jeszcze raz przemyśli. On taki już jest, im bardziej się go naciska, tym bardziej upiera się przy swoim. Cierpliwością na pewno osiągniesz...

Córka nie pozwoliła jej dokończyć.

- Cierpliwością! - prychnęła. - Ile mam czekać? Rok, dwa? A może dziesięć. Tak, najlepiej dziesięć, bo wtedy będę już całkiem dorosła i nie będę musiała prosić ojca o żadne pozwolenie - wyrzuciła z siebie, choć nie była pewna, czy się nie myli, bo znając ojca, wcale by się nie zdziwiła, gdyby nawet za dwadzieścia lat próbował jej dyktować, co ma robić.

Nie miała tyle czasu. Nie miała nawet tygodnia. Już w poniedziałek - Marcel zaproponował, żeby wybrali się gdzieś w weekend, a ona irracjonalnie licząc na to, że do tej pory coś się zmieni, chętnie się zgodziła.

Nic się nie zmieniło i powinna mu powiedzieć, że nie spotka się z nim jutro, ale nie mogła.

Marcel patrzył na nią, czekając na odpowiedź.

- O piątej? - odezwała się niepewnym głosem.

- Nie może być wcześniej? Nie wiem, jak tak długo bez ciebie wytrzymam.

Boję się, że będziesz musiał wytrzymać trochę dłużej, pomyślała, zastanawiając się, jak sama to zniesie. W ciągu minionego tygodnia spotykali się na każdej przerwie, a jadąc rano do szkoły, myślała tylko o tym, że już wkrótce go spotka. Nie podzieliła się z nim jednak swoimi obawami, tylko przytuliła się do niego mocno, kiedy objął ją i pocałował na do widzenia.

Wyjeżdżała z parkingu, zdecydowana podjąć jeszcze jedną próbę przekonania taty. Musi mi się to udać, powtarzała w myślach przez całą drogę do domu. To nie do pomyślenia, żeby w dwudziestym pierwszym wieku ojciec zabraniał czegoś córce, nawet nie wyjaśniając dlaczego.

Kiedy zatrzymała się przed domem, poczucie krzywdy wezbrało w niej do tego stopnia, że dławilo ją w gardle. Wbiegając do holu, zawołała już od drzwi:

- Jest tata?!

Zaalarmowana jej krzykiem matka wyszła z kuchni.

- Coś się stało? - spytała, patrząc z niepokojem na córkę.

- Nic się nie dzieje - odparła zadyszana dziewczyna. - Wiesz może, gdzie jest tata?

- Chyba w winiarni.

Leslie odwróciła się na pięcie i wypadła z domu. Nie zważając na wołania matki, przebiegła kwadratowy dziedziniec. Zatrzymała się przed wielkimi drzwiami winiarni i trzy

razy głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić, po czym nacisnęła klamkę i pewnym krokiem wkroczyła do hali, w której odbywała się produkcja wina.

Nikogo nie zauważyła. Gdy usłyszała męski głos, podążyła w jego stronę. Minęła trzy wielkie metalowe kadzie i dopiero kiedy doszła do czwartej, zza ostatniej, znajdującej się na końcu pomieszczenia, wyszedł ojciec.

- Jest czysto jak w sali operacyjnej, panie Medrano - rozległ się dziwnie stłumiony głos.

Leslie rozejrzała się, lecz poza ojcem nie było już nikogo.

- To co, mam stąd wyjść, panie Medrano? Dopiero teraz zorientowała, że głos dochodzi z wnętrza kadzi.

- Wychodź, Bill! - zawołał jej tata.

Po chwili na górnej krawędzi kadzi ukazała się postać, która w gumowym kombinezonie, zakrywającym całe ciało, bardziej przypominała kosmitę niż człowieka.

Po tym jak trzy lata temu zmarnowała się połowa zbiorów, ojciec sam dopilnowywał przygotowania urządzeń.

Bill zszedł na dół po wąskiej metalowej drabince, rozpiął zamek w kombinezonie i zsunął na plecy część okrywającą głowę.

- Uf! Gorąco jak diabli w tym paskudztwie!

- Wiem, Bill, ale tak trzeba.

Bill wzruszył ramionami. Najwyraźniej uważał, że pan Medrano przesadza z tą czystością, lecz nie powiedział tego głośno.

- Cześć, Leslie - rzucił. Dopiero teraz zobaczył dziewczynę, którą znał od dziecka.

- Dzień dobry, panie Bronson.

- Ho, ho, ale z ciebie panna, pewnie masz już kawalera, co?

Leslie cała się spięła. Na szczęście tata chyba tego nie zauważył, bo jakby nigdy nic zwrócił się do swojego pracownika:

- No to na dzisiaj byłoby już wszystko, ale pamiętaj, że jutro...

- Pamiętam, pamiętam. Co robić, takie już jest życie. - W czasie winobrania pracowało się w soboty, a często nawet w niedziele, żeby zdążyć przed pierwszymi przymrozkami. - Do widzenia, panie Medrano. Cześć, Leslie.

- Do, widzenia, panie Bronson. - Uśmiechnęła się do tego niemłodego już mężczyzny, którego bardzo lubiła od czasu, kiedy jako małą dziewczynkę nosił ją na barana.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, w winiarni zapanowała głucha cisza. Ojciec zbliżył się do niej i zaczął ją obwąchiwać ze wszystkich stron, tak jak robią to rodzice

podejrzewający swoje nastoletnie dzieci o palenie papierosów. Leslie wiedziała jednak, że chodzi mu o coś zupełnie innego.

- Spryskałam się dzisiaj tylko bezzapachowym dezodorantem - powiedziała. - Nie mogę używać innego, bo jestem uczulona.

Ojciec wziął do ręki pasmo jej włosów i przyłożył do nosa.

- A to?

- Co? - powąchała swoje włosy i wyczuła lekki ziołowy zapach. - To tylko szampon. Nie mów mi, że coś takiego może wpłynąć na bukiet wina. To po prostu niemożliwe. Przecież ty również myjesz głowę. Pan Bronson ma wprawdzie cztery włosy na krzyż, ale też chyba używa szamponu. A poza tym kadzie są jeszcze puste - dodała, rozglądając się po hali. Znała zasady i przestrzegała ich. Nigdy nie weszłaby do winiarni, gdyby się wcześniej spryskała jakimiś perfumami, ale teraz uważała, że ojciec przesadza.

- Lepiej być za ostrożnym, niż czegoś nie dopilnować.

Biegnij do domu i powiedz mamie, że za piętnaście minut przyjdę na kolację.

Objął ją delikatnie i skierował do drzwi.

Leslie, która idąc tu, była zdecydowana porozmawiać z nim ostro, nagle zmiękła i postanowiła zmienić taktykę.

- Tato, chciałabym z tobą pogadać - zaczęła łagodnym tonem.

- Za piętnaście minut będę w domu.

- Wolałabym teraz. - Patrzyła mu w oczy błagalnym wzrokiem.

Ojciec zastanawiał się przez chwilę.

- W porządku, ale wyjdźmy na zewnątrz. - Jeszcze raz przytknął nos do włosów córki i pokręcił głową. - Trochę za ostry ten zapach.

Leslie uznała za dobry znak to, że w ogóle zgodził się porozmawiać, jednak kiedy znaleźli się na dziedzińcu, nagle straciła całą odwagę.

- No, mów - ponaglił ją ojciec. - Padam z nóg. Marzę tylko o tym, żeby wreszcie usiąść i nie wstawać aż do jutra.

Widziała po jego oczach, że jest zmęczony. Nic dziwnego, skoro od miesiąca wstawał o piątej i wyłączony krótką przerwę na obiad, pracował do wieczora.

- Tato - odezwała się najłagodniej, jak potrafiła - powiedz mi, dlaczego nie mogę się spotykać z Marcelem Blanchardem. Proszę.

Jego twarz spięła się w gniewnym grymasie, ale po chwili znów widać było na niej tylko zmęczenie.

- Proszę - powtórzyła Leslie cicho.

Nie odpowiadał tak długo, że zaczynała tracić nadzieję, że coś od niego usłyszy. I nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Wydał jej się niebezpieczny, ale postanowiła zaryzykować.

- Możemy zawrzeć umowę - zaproponowała. Jeszcze chwilę się wahała, po czym powiedziała: - Obiecuję ci, że nie będę się z nim spotykać, pod warunkiem że wyjaśnisz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Ojciec przyjrzał jej się uważnie.

- Mogłabyś mi to obiecać?

Leslie wytarła łzę, która spływała jej po policzku, i skinęła głową.

- Bo to nie jest chłopak dla ciebie - powiedział w końcu.

- Przecież ty go w ogóle nie znasz.

- Ale znam jego rodzinę.

- Mówisz o jego dziadku?

- O dziadku, pradziadku, o wszystkich Blanchardach. Wierz mi, Leslie, że będzie dla ciebie lepiej, jeśli nie będziesz miała do czynienia z ludźmi takimi jak oni.

- Co oni takiego zrobili?

- To są stare sprawy, nie chcę o nich mówić. Nie męcz mnie już dłużej.

Popatrzył na nią wzrokiem, w którym zobaczyła coś, co mogło być błaganiem.

- Leslie - odezwał się cicho. Nigdy nie słyszała, żeby zwracał się do kogoś takim tonem. - Daj sobie spokój z tym chłopakiem... proszę...

ROZDZIAŁ 12

Sześć jajek, cukru... - Marcel z uśmiechem spojrzał na Marię.

- Ile cukru? - ponagliła go.

Czytał ze starej francuskiej książki kucharskiej przepis na suflet czekoladowy i tłumaczył go głośno na angielski.

- Tyle ile ważą jajka.

- Różne rzeczy robiłam, ale jajek jeszcze nie ważyłam - powiedziała Maria. - Dziwne mają zwyczaje w tej Europie.

- Ja też nigdy nie słyszałem, żeby ktoś ważył jajka. Ta książka ma już prawie sto lat - przypomniał Marii. - Może kiedyś coś takiego się robiło.

- Czytaj dalej - poprosiła, kładąc na wadze sześć jajek.

Marcel dobrze się czuł w jej królestwie. Kuchnia była najprzytulniejszym miejscem w Blanchard Château, ale tak naprawdę nie chodziło o pomieszczenie, lecz o towarzystwo Marii, którą z każdym dniem coraz bardziej lubił.

Polubił ją tak bardzo, że pół godziny temu powiedział jej, że jest zakochany w Leslie i że nie może się już doczekać dzisiejszego spotkania z nią. Właśnie myślał o tym, że na takie zwierzenia nie zdobył się nigdy nawet wobec mamy, kiedy do kuchni weszła pokojówka Dolores. Przed trzydziestu laty przyjechała razem z Marią do Kalifornii. Pochodziły z jednej wioski i to było wszystko, co miały ze sobą wspólnego. Podczas gdy niska, okrągłutka Maria była ciepła i serdeczna, to wysoka koścista Dolores wydawała się nieprzystępna jak szczyty Himalajów.

- Telefon do ciebie - powiedziała, obrzucając Marię karcącym spojrzeniem. No bo kto to widział, żeby wnuk starego pana Blancharda przesiadywał w kuchni?

- Do mnie? - zdziwił się chłopak.

- Tak. Jakaś *señorita*. - Teraz z kolei na niego zerknęła z oburzeniem. Co za czasy! Żeby dziewczyny wydzwaniały do chłopaków!

Marcel zignorował jej spojrzenie, popędził do holu i podniósł odłożoną na stolik słuchawkę.

- Halo. Cześć, Leslie - rzucił, zanim się odezwała. Nikt inny nie mógł do niego dzwonić.

- Cześć - powiedziała trochę schrypniętym głosem. - Słuchaj, nie mogę się z tobą spotkać.

- Coś się stało? Jesteś chora?

- Nie, dlaczego miałabym być chora? Po prostu nie mogę się dzisiaj z tobą spotkać.

- To może jutro? - Tak bardzo się nastawił na to, że ją zobaczy, że nie wyobrażał sobie, jak wytrzyma do poniedziałku.

- Nie, jutro też nie mogę.

- Na pewno nie jesteś chora? Masz chyba chrypę.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza. Kiedy Leslie odezwała się znowu, głos miała dziwnie zduszony.

- W poniedziałek wszystko ci wytłumaczę, teraz naprawdę muszę już kończyć. - Nie odkładała jednak słuchawki.

- Leslie? Odpowiedziało mu milczenie.

- Leslie? - powtórzył.

Już myślał, że przerwała połączenie, tylko umknęło to jego uwagi, kiedy usłyszał jej zdławiony szept:

- Tak?

- Kocham cię - powiedział.

Teraz naprawdę odłożyła słuchawkę, słyszał wyraźne kliknięcie.

Marcel tak długo nie wracał do kuchni, że Maria, nie wiedząc, co robić z jajkami i cukrem, które zdążyła zważyć, wyjrzała do holu.

Stał przy stoliku. W jednej z opuszczonych dłoni trzymał słuchawkę. Oczy, które jeszcze kilka minut temu promieniały szczęściem, miał przygaszone.

Kiedy wyszła z kuchni, nawet na nią nie popatrzył.

Stało się to, czego tak bardzo się bała. Widać pan Bóg obraził się na nią za to, że przez ostatnie lata tak często o nim zapomniała, nie wysłuchał jej modlitwy i nie oszczędził bólu temu chłopcu.

ROZDZIAŁ 13

Lewą ręką trzymając kierownicę, prawą otarła łzy, które strumieniami spływały jej po policzkach, tak że niewiele widziała. Zatrzymała się na poboczu drogi, wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła twarz i oczy.

Chwilę posiedziała, nie zapalając silnika, i dopiero upewniwszy się, że znów się nie rozplacze, ruszyła dalej.

Jeszcze pięć kilometrów i jeśli będzie miała szczęście, wszystkiego się dowie. Kiedy w nocy przewracała się na łóżku, zalewając się łzami tak, że na poduszce nie było jednego suchego miejsca, przyszło jej do głowy, że jest tylko jedna osoba, która może jej pomóc. Za kilka minut ją zobaczy.

Skręciła z głównej drogi w wysadzaną wiązami aleję i wkrótce przejechała przez bramę, nad którą widniał napis - tak samo pasujący do dzisiejszej deszczowej pogody, jak do nastroju Leslie - SŁONECZNA JESIEŃ.

Parking dla odwiedzających, jak w każdą niedzielę, był zatłoczony, ale w końcu znalazła miejsce. Dla większości samochodów byłoby za małe, lecz jej honda jakoś się zmieściła.

Wzięła z siedzenia pudełko z ciastem, które wcisnęła jej matka, gdy dowiedziała się, dokąd Leslie się wybiera, i ruszyła w stronę głównego wejścia do budynku.

Zadbany dziedziniec z klombami, starannie podcinanymi krzewami i mnóstwem ścieżek do spacerowania był pusty, ale kiedy otrzepując z kurtki krople deszczu, weszła do holu, ogarnął ją gwar. Pensjonariusze siedzieli ze swoimi krewnymi na porozstawianych wszędzie skórzanych kanapach i fotelach. Niektórzy z nich musieli mieć kłopoty ze słuchem, bo po prostu krzyczeli.

Zatrzymała się na środku, żeby się rozejrzeć.

- Leslie, kochanie! - usłyszała za plecami piskliwy głos. Odwróciła się i zobaczyła okrągłą twarz pani Oliver, okoloną jasnoróżowymi loczkami.

- Dzień dobry - powiedziała i uśmiechnęła się.

- Dawno cię u nas nie widziałam.

Leslie ze wstydem przyznała się przed sobą, że rzeczywiście nie przyjeżdżała tu już od trzech tygodni.

- Byłam trochę zajęta - odparła, zastanawiając się, jak uwolnić się od staruszki. Pani Oliver była przemiłą kobietą, ale kiedy zaczynała mówić, trudno było jej przerwać. Leslie, wiedząc, że krewni rzadko ją odwiedzają, zawsze zdobywała się na cierpliwość i

wysłuchiwała jej do końca, dziś jednak musiała najpierw załatwić coś innego.

- Pójdę już - powiedziała i już chciała odejść, ale widząc rozczarowanie w oczach pani Oliver, dodała: - Jak będę wychodziła, to porozmawiamy - obiecała.

Staruszka ucieszyła się.

- Będę tu na ciebie czekać - oznajmiła.

Dziewczyna wyszła z holu i podążyła długim korytarzem. Kiedy zbliżała się do pokoju numer trzydzieści pięć, wyszła z niego pielęgniarka.

Dziewczyna przywitała się i zapytała:

- Jak się dzisiaj czuje?

Pielęgniarka tylko pokiwała głową i odeszła.

Leslie zapukała i nie czekając na pozwolenie, weszła do pokoju.

Babcia siedziała w przepastnym fotelu, odwrócona twarzą do okna, i nie zareagowała ani na otwieranie drzwi, ani na kroki.

Dziewczyna podeszła do niej.

- Cześć, babciu - powiedziała.

Kiedy pochyliła się, żeby ją pocałować, staruszka odsunęła się jak dzikie zwierzątko. Jej kiedyś pogodne niebieskie oczy były szare i zamglone.

- Czego chcesz?

Wnuczka pogłaskała ją po dłoni.

- To ja, babciu, Leslie.

Staruszka na chwilę zatrzymała na niej spojrzenie, a potem znów skierowała wzrok na okno i patrzyła gdzieś w dal. Była w sobie tylko znanym świecie, do którego nikt poza nią nie miał dostępu. Od kiedy trzy lata temu zachorowała na Alzheimera, często zamykała się w tym świecie, na kilka godzin, kilka dni albo nawet tygodni.

Leslie zrozumiała, że prawdopodobnie babcia nie wróci już dziś do niej, mimo to została. Usiadła na podłodze przy fotelu i ostrożnie, żeby znów jej nie wystraszyć, położyła głowę na jej kolanach.

ROZDZIAŁ 14

W poniedziałek rano Leslie nie spieszyła się tak jak każdego dnia w zeszłym tygodniu, kiedy to oboje, nawet się ze sobą nie umawiając, zjawiali się w szkole co najmniej pół godziny przed lekcjami, żeby spędzić ten czas razem.

Dziś, choć z jednej strony nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Marcela, z drugiej, bała się czekającej ją rozmowy.

Kiedy wjechała na parking, już na nią czekał. Stał oparty o maskę swojego samochodu. Machnął do niej, pokazując wolne miejsce koło pontiaca, które najwyraźniej dla niej trzymał, bo wszystkie inne wokół były zajęte.

- Cześć - powiedziała, wysiadając.

- Cześć. - Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy na widok Leslie, wolno zniknął.

Podszedł do dziewczyny, objął ją niepewnie, ale kiedy spróbował ją pocałować, odchyliła głowę, tak że usta Marcela tylko musnęły jej skroni.

- Co się dzieje? - spytał. Milczała.

- Możesz mi powiedzieć, co się stało? - Położył jej dłonie na ramionach i cofnął się o krok, żeby przyjrzeć się jej twarzy. Była blada, oczy miała podkrążone, a białka nieco zaczerwienione. Mimo to wydała mu się jeszcze piękniejsza niż zawsze.

- Nie wiem, jak to zrobić - odezwała się drżącym głosem. I była to prawda. Choć przez całą niedzielę układała sobie w myślach, co mu powie, teraz czuła w głowie kompletny mętlik. Nagle zapragnęła przytulić się do Marcela i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, jakby jej rozmowa z ojcem w ogóle nie miała miejsca. Zrobiłaby to, gdyby chłopak nie patrzył w jej oczy, czekając na wyjaśnienie.

- Nie mogę się z tobą spotykać - wyrzuciła wreszcie z siebie.

- Dlaczego?

- Po prostu nie mogę. - Bała się, że jeśli powie jeszcze choćby słowo, rozsłocha się.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Nie mogę - odparła po chwili wahania, bo odpowiedź nie była dla niej taka prosta. Wczoraj przeanalizowała wszystkie możliwości. Nie pominęła również takiej, że będzie się spotykać z Marcelem, ukrywając to przed ojcem. Przemyślała nawet szczegóły, i właśnie kiedy zamierzała zadzwonić do Terri i zapytać, czy jej w tym pomoże, uświadomiła sobie, co chce zrobić. Wiedziała, że Terri nie odmówiłaby, ale Leslie nie chciałyby, żeby przyjaciółka musiała przez nią oszukiwać.

Medranowie przyjaźnili się z państwem Kimberly. Gdyby Leslie powiedziała ojcu, że

wybiera się gdzieś z Terri, musiałaby się liczyć z tym, że sprawdzi to z jej rodzicami. Terri zrobiłaby dla niej dużo, prawdopodobnie byłaby nawet skłonna wychodzić z domu, informując rodziców, że spotyka się z Leslie. To dałoby się jakoś załatwić, ale w końcu i tak by się wydało. W tej okolicy ludzie znali się nawzajem i wcześniej czy później ktoś wspomniałby ojcu, że widział jego córkę z wnukiem starego Blancharda w kinie czy pizzerii, a wtedy nie tylko ona wyszłaby na oszustkę, ale i jej przyjaciółka.

Ale nawet gdyby cała sprawa - co było mało prawdopodobne - miała pozostać tajemnicą, Leslie i tak nie zdobyłaby się na okłamywanie rodziców. Brzydziła się takimi metodami.

- Dlaczego? - spytał Marcel.

Chciała powtórzyć „Po prostu nie mogę”, lecz nagle przyszło jej do głowy, że ta odpowiedź do złudzenia przypominałaby słowa jej taty. To tak, jakby powiedziała „nie, bo nie”. Sama się nie godziła na takie załatwianie sprawy i nie sądziła, że Marcel zadowolony będzie taką odpowiedzią.

- Ojciec zabronił mi się z tobą spotykać.

- Wytlumacz mi, z jakiego powodu? - zapytał chłopak. - Przecież on mnie w ogóle nie zna. Co może mieć przeciwko mnie?

- Tu nie chodzi o ciebie.

Oczy Marcela coraz bardziej rozszerzały się ze zdumienia.

- Nic z tego nie rozumiem - rzekł, kręcąc głową. - Możesz mi to wyjaśnić?

Leslie zerknęła na szkołę. Przed drzwiami było pusto; wszyscy uczniowie byli już w środku.

- Chodź, bo spóźnimy się na lekcje - zwróciła się do Marcela i ruszyła przez parking.

- Czekałem tu na ciebie ponad pół godziny - powiedział, starając się, by w jego głosie nie było słycać wyrzutu. - Miałem nadzieję, że przyjedziesz wcześniej, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

Nie przyznała się, że bała się tej rozmowy i właśnie dlatego zjawiała się tak późno.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, dopiero gdy doszli do schodów prowadzących do głównego budynku, złapał Leslie za rękę i zatrzymał.

W pierwszym odruchu chciała ją cofnąć, ale nie mogła się na to zdobyć. Dłoń Marcela była taka cudownie ciepła.

- Skoro nie o mnie chodzi, to o kogo? - zapytał, spoglądając jej w oczy.

- O twoją rodzinę - odparła. Patrzył na nią z takim zdecydowaniem, że musiała mu odpowiedzieć.

- Przecież moja rodzina nie żyje! - zawołał i zanim przebrzmiał jego uniesiony głos, zrozumiał, że nie chodzi o rodziców. - Twój ojciec ma coś pewnie do mojego dziadka - dodał już dużo ciszej.

Leslie skinęła głową.

- Chodź, wejdziemy do szkoły - powiedziała, zerkając na zegarek. - Jest już po dzwonku. Porozmawiamy na przerwie.

Marcel jednak nie posłuchał jej. Nie ruszy się stąd, dopóki wszystkiego się nie dowie.

- Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

- To chyba jakaś stara rodzinna kłótnia. Nie mam pojęcia, o co poszło, ale chyba o coś ważnego. - Musiało być ważne, skoro wciąż budziło w jej ojcu takie emocje.

Chłopak przechylił głowę i mierzył ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Nie wiesz dokładnie, o co poszło, a mimo to nie zamierzasz mu się sprzeciwić. - Po raz pierwszy w jego głosie słychać było pretensję. - Wolisz się ze mną nie spotykać.

Leslie chciała zaprzeczyć, lecz nie dopuścił jej do głosu.

- Dobrze, załóżmy, że mój dziadek... - przerwał, bo zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy nazwał tak ojca swego taty - że Philippe Blanchard - poprawił się - zrobił coś takiego, że twoja rodzina ma prawo mieć do niego pretensje. Załóżmy, że tak było naprawdę. - Mówił coraz bardziej podnieconym głosem. - To co, do...

Leslie skrzywiła się lekko. Nie lubiła, kiedy chłopcy przeklinali. Marcel jeszcze nigdy tego przy nie robił, a teraz nie mogłaby nawet mieć mu tego za złe.

- Co, na miłość boską, ja mam z tym wspólnego?!

- Nie krzycz tak - upomniała go. Przed szkołą nie było wprawdzie nikogo, ale mówił tak podniesionym głosem, że prawdopodobnie było go słychać wewnątrz budynku.

Chłopak zaczął oddychać głęboko, nabierając powietrza przez nos i wypuszczając ustami. Leslie wiedziała, że to pomoże mu się uspokoić. Mówił jej, że ćwiczy jogę, w której najważniejszy jest oddech.

- Z tego, co wiem, nie chodzi tylko o twojego dziadka, ale i pradziadka.

- Co?! Mam odpowiadać za winy jakiegoś człowieka, którego nie widziałem na oczy, który od lat nie żyje?! - Joga na nic się nie zdała. Marcel znowu zaczął krzyczeć. - To jakieś czyste szaleństwo!

Nie znosiła, kiedy ktoś zwracał się do niej takim podniesionym głosem.

- Nie będę z tobą dłużej rozmawiać, jeśli masz zamiar dalej tak wrzeszczeć - zagroziła i położyła rękę na klamce drzwi.

- Zaczekaj, Leslie. - Spojrzał na nią z niemą prośbą w oczach.

Wciąż trzymała dłoń na klamce.

- Kocham cię - odezwał się cicho.

Miała ochotę zarzucić mu rękę na szyję i powiedzieć to samo, ale walcząc ze łzami, wydusiła z siebie:

- Więc jeżeli mnie kochasz, to daj mi trochę czasu. Nie naciskaj mnie. Pozwól mi się nad wszystkim zastanowić. Nie zmuszaj mnie, żebym teraz wybierała między tobą a ojcem.

- A nie przyszło ci do głowy, że to on cię do tego zmusza?

Owszem, przyszło, długo się nad tym zastanawiała i w końcu doszła do wniosku, że gdyby nie błaganie, które zobaczyła w piątek w oczach taty, gdyby nie „proszę”, które tak rzadko słyszała z jego ust, być może zdecydowałaby się na to, żeby dalej spotykać się z Marcelem.

- Przyszło - powiedziała prawie szeptem. - Ale to jest trochę bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim chłopak zapytał:

- Więc czego ode mnie oczekujesz? Mam się do ciebie w ogóle nie odzywać? Mijać cię na korytarzu, jakbym cię nie znał?

Serce jej się ścisnęło na samą myśl o tym. Tego ojcu nie obiecywała. Nie było mowy o tym, że nie będzie się odzywać do Marcela. Wprawdzie w ogóle nie rozmawiali o szczegółach, ale rozumiała, że jego zakaz dotyczy tylko spotykania się po szkole, a przynajmniej tak chciała go rozumieć.

- Nie, możemy ze sobą rozmawiać. Nie będziemy się tylko widywać po szkole - odparła zbolowanym głosem, a po chwili dodała. - Mam nadzieję, że kiedyś się to zmieni.

Marcel położył rękę na dłoni, którą wciąż trzymała na klamce i lekko ją uściśnił.

- Poczekam - powiedział.

ROZDZIAŁ 15

Marcel rzucił w holu plecak na krzesło w stylu Ludwika XVI i poszedł do kuchni. Wiedział, że zastanie tu Marię, o tej porze zawsze była w swoim królestwie i przygotowywała kolację.

Spojrzała na niego czarnymi przenikliwymi oczami, w których malował się niepokój. Wczoraj po tym, jak odebrał telefon, nie wrócił już do kuchni. Domyśliła się, że zadzwoniła do niego córka Medranów. Obawiała się najgorszego, lecz żywiła jeszcze resztkę nadziei, że powodem jego wczorajszego przygnębienia była zwykła sprzeczka z dziewczyną. Dziś jednak wystarczyło jej jedno spojrzenie na smutną twarz Marcela, by resztki nadziei przysły.

- Masz chwilę czasu, żeby ze mną porozmawiać? - zapytał od drzwi.

Wytarła ręce w fartuch i usiadła przy stole, odsuwając dla chłopca miejsce naprzeciwko siebie.

- Nie jesteś głodny?

- Trochę, ale wytrzymam do kolacji. Maria skinęła głową.

- Mów - zachęciła go łagodnie, widząc, że nie wie, od czego zacząć.

- Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że chyba się zakochałem w Leslie Medrano? - Wtedy nie zwrócił na to uwagi, dopiero dzisiaj w drodze ze szkoły do domu nagle, nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie ten moment i przed oczami stanęła mu Maria, której radosną twarz nagle spiął grymas niepokoju. Otworzyła wtedy usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

- Pamiętam.

- Coś cię wtedy zaniepokoiło, ale nie chciałaś ze mną o tym mówić, prawda?

- Owszem, nie chciałam.

- Powiesz mi to teraz?

- Chyba już się dowiedziałeś - powiedziała Maria cicho. Żałowała, że od razu nie uprzedziła chłopca, że może mieć kłopoty. Może gdyby to zrobiła, zaoszczędziłaby mu trochę bólu.

- Niczego się właściwie nie dowiedziałem - sprostował Marcel. - Wiem tylko, że ojciec Leslie z jakiegoś powodu nienawidzi mojego dziadka. - Zwrócił uwagę, że nazwał go tak już po raz drugi, lecz tym razem się nie poprawił. - Słyszałem też coś o pradziadku, ale tak naprawdę nie wiem, o co chodzi.

Maria smutno pokiwała głową.

- A ona?

- Co ona?

- No, ta dziewczyna, Leslie, co myśli o twoim dziadku?

- Nie wiem. Co może myśleć? Przecież go nie zna. Zresztą to, co ona myśli, i tak nie ma najmniejszego znaczenia, skoro ojciec zabronił jej się ze mną spotykać.

Marcel popatrzył błagalnie na Marię.

- Powiedz mi, proszę, o co w tym chodzi.

- Sama nie wiem wszystkiego. To są stare sprawy, jeszcze z czasów, zanim przyjechałam do Kalifornii. Nie słucham wszystkich plotek. Wiesz, jak ludzie lubią pleść trzy po trzy, a potem się okazuje, że prawdy w tym tyle, co kot napłakał. Kiedyś, jeszcze przed pierwszą wojną winnica Medranów była równie wielka jak Blanchard Estate. Coś się potem stało takiego, nie wiem dokładnie co, że Medranowie bardzo zbiednieli, twój pradziadek kupił dużą część ich winnicy i od tego czasu zaczęli go nienawidzić. A potem...

Maria zaczęła zgarniać ze stołu jakieś niewidzialne okruszki.

- I co było potem? - dopytywał się chłopak.

- Potem twój dziadek zakochał się w córce Medranów.

- Co?! - Marcel aż podskoczył na krześle. Myśl, że Philippe Blanchard, ten oschły stary człowiek, mógł się kiedyś w kimś zakochać, wydała mu się zupełnie nieprawdopodobna, ale za jeszcze bardziej nieprawdopodobne uznał to, że zakochał się... - W kim?!

- W Angeli Medrano, babce tej twojej Leslie.

Chłopak miał tak zdumioną minę, że Maria się uśmiechnęła.

- To była podobno bardzo piękna dziewczyna, najładniejsza w tej części Kalifornii.

Marcel domyślał się już, jak zakończyła się ta historia, ale chciał poznać szczegóły.

- I co było dalej?

- Medranowie nie zgodzili się, żeby ich córka wyszła za Blancharda, i szybko wydali ją za kogoś innego. Potem znowu popadli w jakieś tarapaty i twój dziadek kupił następną część ich winnicy, a oni znenawidzili Blanchardów jeszcze bardziej. - Maria popatrzyła na chłopca, po czym dodała: - Tyle słyszałam, a co z tego jest prawdą, Bóg raczy wiedzieć.

Nie tylko Bóg, pomyślał Marcel. Był ktoś, kto mógłby mu powiedzieć wszystko, ale nie wiedział, czy znajdzie w sobie tyle odwagi, żeby go o to zapytać.

ROZDZIAŁ 16

Marcel dotrzymywał obietnicy. Nie naciskał jej, nie narzucał się ze swoim towarzystwem. Zrobił dokładnie to, o co go poprosiła, ale w głębi duszy była tym trochę rozczarowana.

Minął ponad miesiąc od ich rozmowy przed szkołą. Spotykali się na przerwach, rozmawiali jak przyjaciele, ale tęskniła za czymś więcej. Na początku sądziła, że ten dystans wyjdzie im na dobre. Może za nagle rzucili się w wir tego uczucia, i teraz, kiedy trochę ochłoną, będą mogli się przekonać, na ile jest głębokie.

Powtarzała to sobie tysiące razy, lecz ani trochę nie koło to jej tęsknoty za Marcelem. Próby w teatrze, które ruszyły już pełną parą, pozwalały jej tylko na jakiś czas oderwać od niego myśli, potem wracały, jeszcze bardziej bolesne.

Była rozdarta między lojalnością wobec ojca, który teraz, pod koniec winobrania, był naprawdę wykończony i co wieczór ze współczuciem patrzyła na jego zmęczoną twarz, a miłością do Marcela.

Czasem, kiedy przechwytywała jego spojrzenie, miała wrażenie, że patrzy na nią z wyrzutem. Czasem wydawało jej się, że słyszy pretensję w jego głosie. Może zaczynał tracić cierpliwość, może oczekiwał, że wreszcie coś zrobi, żeby mogli się spotykać po szkole i tak jak inne pary wybierać się do kina.

O niczym bardziej nie marzyła. Ale żeby to marzenie się spełniło, musiała jeszcze raz porozmawiać z ojcem. Zdawała sobie sprawę, że tego nie uniknie, postanowiła jednak poczekać, aż skończy się winobranie.

Rodzice nigdy nie obarczali jej swoimi problemami, ale przecież nie była ślepa i głucha. Wiedziała, że trzy lata temu, kiedy zmarnowała się ponad połowa zbiorów, ojciec mówił matce, że prawdopodobnie będzie musiał sprzedać winnicę. Podслуchała przypadkiem tę rozmowę i widziała wyraz bólu na jego twarzy.

Dzięki ciężkiej harówce taty i wyrzeczeniom całej rodziny przetrzymali kolejne dwa lata. Kilka miesięcy temu powiedział, że jeśli ten rok będzie równie dobry, jak dwa poprzednie, wreszcie uda im się wyjść na prostą.

Leslie zdawała sobie sprawę, w jakim stresie żyje teraz tata, i za nic na świecie nie chciałaby przysparzać mu więcej zmartwień.

Kiedy więc dostrzegła w oczach Marcela albo słyszała w jego głosie wyrzuty, miała do niego żal, że nie potrafi jej zrozumieć. Mimo to z utęsknieniem czekała na każdą okazję do spotkania w szkole.

Właśnie szła korytarzem, wypatrując go w tłumie dziewcząt i chłopców. Gdy w dali mignęła mu jego ciemna czupryna, uśmiechnęła się, ale uśmiech natychmiast zamarł na jej ustach. Tak, nie myliła się. Ta wysoka blondynka, która szła obok niego, to była Cindy Stone.

Leslie poczuła, jak po plecach przechodzą jej ciarki. Cindy była marzeniem każdego chłopaka w liceum Santa Rosa, marzeniem nieosiągalnym. Spotykała się ze starszymi chłopakami, a rówieśników ze szkoły traktowała jak powietrze. A teraz szła obok Marcela i z szerokim uśmiechem gwiazdy filmowej mówiła coś do niego. A on... on też się do niej uśmiechał.

Minęło ponad dwa miesiące, odkąd zaczął chodzić do ich szkoły. Zdążył już przełamać pierwsze lody i nawiązać znajomości. Leslie czasami widywała go na przerwach w towarzystwie kolegów, ale nigdy nie kręciła się przy nim żadna dziewczyna.

Przeżrana, przez chwilę nie wiedziała, jak się zachować, a potem zrobiła pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy - obróciła się na pięcie i poszła w przeciwnym kierunku, żeby uniknąć spotkania z Marcelem.

Terri, która szła razem z nią, dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że przyjaciółka zniknęła. Zanim się rozejrzała i ją dostrzegła, ta była już tak daleko, że z trudem ją dogoniła.

- Gdzie tak pędzisz? - zapytała zdyszana.

Leslie nie odpowiedziała, tylko dalej szybkim krokiem szła przed siebie.

Wreszcie Terri chwyciła ją za ramię i zatrzymała.

- Możesz już tak nie uciekać. Nie ma go tu. - Oczywiście, domyśliła się, co było powodem tego dziwnego zachowania przyjaciółki. Sama stanęła, jak wryta, kiedy zobaczyła Marcela w towarzystwie Cindy Stone.

Chciała powiedzieć Leslie, żeby nie zachowywała się jak idiotka i że to w ogóle do niej niepodobne, ale zobaczyła, że przyjaciółka walczy ze łzami.

- Leslie - odezwała się cicho. - Marcel na nią nie poleci. Naprawdę nie masz się czego bać.

- Na nią poleci każdy chłopak - powiedziała Leslie, ocierając palcami łzy z kącików oczu.

- Nie on. On jest w tobie naprawdę zakochany. Nie popatrz na żadną inną dziewczynę.

- Jeśli coś się nie zmieni, to wcześniej czy później popatrz.

Terri zastanawiała się nad czymś przez chwilę.

- Wiesz, że jestem gotowa ci pomóc. Leslie smutno pokiwała głową.

- Wiem, ale nie chcę, żebyś przede mną musiała oszukiwać. Niedługo porozmawiam jeszcze raz z ojcem.

- A jeśli nie uda ci się go przekonać?

- Nie wiem, co wtedy zrobię. - Woląłem o tym nie myśleć, i tak było jej wystarczająco ciężko na duszy.

ROZDZIAŁ 17

Chociaż dopiero minęła piąta, było już prawie ciemno. Dzień był pochmurny, lecz to nie pogoda była przyczyną złego nastroju Marcela.

Opuścił szybę samochodu. Często w drodze do szkoły albo do domu, przejeżdżając przez tę część winnicy, w której rosły róże, otwierał okno. Zapach róż przypominał mu Leslie i tę noc, kiedy się pocałowali. Teraz jednak do wnętrza samochodu wdarło się zimne wilgotne powietrze. Płatki róż dawno już opadły i czuł tylko późnojesienny zapach rozkładających się liści.

Podniósł szybę i pogrążył się w smutnych myślach. Przypominał sobie, jak bardzo lubił w Paryżu piątkowe popołudnia, kiedy to wracając po lekcjach do domu, miał przed sobą dwa i pół dnia wolnego. Teraz uwielbiał poniedziałkowe poranki, bo jadąc do szkoły, wiedział, że wkrótce spotka Leslie.

Dziś był piątek i świadomość, że nie zobaczy jej przez dwa dni, była dla niego nie do zniesienia. Ale nie tylko to go przygnębiało.

Od ponad miesiąca robił to, o co go prosiła. Nie wracał do rozmowy o zakazie jej ojca, nie wspominał nawet o tym, czego dowiedział się od Marii. Starał się nie wywierać na nią presji, choć dużo go to kosztowało, zwłaszcza przed każdym weekendem, kiedy słyszał, jak jego koledzy umawiają się ze swoimi dziewczynami, podczas gdy jego czekała samotna sobota i niedziela. Ale jakoś to znosił. Kochał Leslie i był gotowy dalej czekać, wierzył bowiem, że sytuacja wkrótce się zmieni.

Tak było jeszcze wczoraj. Bo dziś po raz pierwszy przemknęła mu przez głowę koszmarna myśl, że może się mylić.

Po przedostatniej lekcji, jak zwykle jako jeden z pierwszych, wypadł na korytarz, żeby jak najszybciej się z nią zobaczyć. Serce podskoczyło mu z radości na jej widok, uśmiechnął się. a wtedy ona - choć musiała go zauważyć, był tego pewien - odwróciła się i odeszła. Chciał za nią natychmiast pobiec, ale jakaś dziewczyna, która wyszła za nim z klasy, o coś go zapytała i zanim zdążył odpowiedzieć jej coś na odczepnego, Leslie zniknęła mu z oczu.

I nagle pomyślał, że ona może go nie kochać. Może wymyśliła sobie tę historię o tym, jak to ojciec zabronił jej się z nim spotykać, ponieważ nie miała odwagi mu powiedzieć, że nie chce z nim chodzić.

Odsuwał od siebie te smutne myśli, ale przez całą drogę do Blanchard Château uparcie powracały. Żałował, że nie poczekał na Leslie, aż skończy próbę. Zawsze w piątki zostawał w szkole godzinę po lekcjach, żeby побыć z nią jeszcze przynajmniej przez kilkanaście minut

przed długim i smutnym weekendem. Nie wiedział, na ile rodzice ją kontrolują, ale czasami wydawało mu się, że mogłaby zostać trochę dłużej. Ojciec prawdopodobnie nie sprawdzał za każdym razem, o której kończy się próba. Marcela korciło, żeby jej o tym powiedzieć, lecz nie zrobił tego w obawie, że odbierze to jako próbę nacisku.

Dziś w ogóle nie został po lekcjach. Po co, skoro nie chciała go widzieć?

ROZDZIAŁ 18

Antoni Medrano usiadł wygodnie na kanapie w salonie, | odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Udało się, wreszcie się udało, pomyślał z satysfakcją. Warto było harować dla tej chwili. Tegoroczne zbiory okazały się lepsze niż te z dwóch poprzednich lat, lepsze, niż mógł sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach.

Dziś otrzymał pismo informujące o tym, że bank schodzi z hipoteki. Kredyt został spłacony i winnicy nic już nie zagrażało. Na koncie było wystarczająco dużo pieniędzy, żeby nie musieć się martwić tym, że w kolejnych latach urodzaje mogą być trochę gorsze.

Przypomniał sobie dziadka. Andrea Medrano byłby z niego teraz dumny. Kiedy umierał, winnica była podupadła i zadłużona. Nikt się nie spodziewał, że jeszcze kiedyś stanie na nogi, ale jego wnuk się zaparł i po latach ciężkiej pracy i wyrzeczeń, wreszcie mógł powiedzieć, że się udało. Pomyślał z czułością o żonie. Tak, Debbie też miała w tym swój udział. Nigdy się nie skarżyła, że brakuje na to czy na tamto, i zawsze go wspierała w najcięższych chwilach, zwłaszcza trzy lata temu, kiedy się wydawało, że już wszystko stracone.

Antoni Medrano poczuł się nagle bardzo szczęśliwym człowiekiem. Miał cudowną żonę, wspaniałe dzieciaki. Będzie musiał im poświęcić teraz trochę więcej czasu. Tom wyraźnie tego potrzebował, a Leslie... Tak, Debbie miała rację, ich córka cierpiała. Nie okazywała tego ostentacyjnie, ale widział to w jej przygaszonych oczach, słyszał w głosie, który ostatnio stracił swoją dźwięczność.

Może powinien jeszcze raz to wszystko przemyśleć?

ROZDZIAŁ 19

Leslie, nie zapalając światła, podeszła do okna, rozsunęła zasłony, wspięła się na parapet i usiadła z kolanami pod brodą.

Otworzyła okno, ale natychmiast je zamknęła. Na dworze było zimno, a z rogu dziedzińca, w którym mieściły się kwatery dla robotników sezonowych, nie dochodziły żadne dźwięki. Winobranie dobiegło końca. Meksykańscy robotnicy przed kilkoma dniami wyjechali.

Pomyślała, że czekała na to od dwóch miesięcy - na to, że skończą się najważniejsze prace i będzie mogła porozmawiać z ojcem. Tyle że nie miała już z nim o czym rozmawiać. Problem rozwiązał się sam. Marcel już jej nie kochał. Nie powiedział jej tego, ale ostatnio przecież rzadko ze sobą rozmawiali. Tego dnia, kiedy zobaczyła go na przerwie z Cindy Stone, nie czekał na nią jak zawsze w piątek na szkolnym parkingu. Wróciła do domu załamana, ale jeszcze tliły się w niej resztki nadziei. W poniedziałek jednak zauważyła, że zaczął się zachowywać jakoś inaczej. Musiałaby być bardzo naiwna, gdyby nie powiązała tego z Cindy.

Zaskoczyło ją wprawdzie to, że nagle Cindy zaczęła się interesować chłopakiem z Santa Rosa, ale kiedy się nad tym dłużej zastanowiła, przestała się dziwić. Dla takiej snobki jak ona Marcel był nie tylko rówieśnikiem z liceum, był przede wszystkim wnukiem starego Blancharda, właściciela Blanchard Estate, najbogatszego człowieka w okolicy.

Leslie nie widywała ich potem razem, ale to o niczym nie świadczyło, bo nie chcąc mu się narzucać, od kilku tygodni starała się omijać miejsca, w których mogła go spotkać.

Za każdym razem zmagала się ze sobą, nie potrafiąc odpowiedzieć sobie na pytanie, co sprawia jej większy ból, widok chłopaka, którego wciąż kochała całym sercem, mimo że on już nie odwzajemniał tego uczucia - a może nawet nigdy jej nie kochał - czy to, że go nie widuje.

Terri próbowała ją wprawdzie przekonywać, że się myli, ale Leslie podejrzewała, że przyjaciółka tylko ją pociesza, i wolała nie chwytac się złudnych nadziei.

Siedząc na parapecie, zaczęła coś nucić. Dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że jest to meksykańska ballada, której przez ponad dwa miesiące słuchała prawie co wieczór. Czula, że za chwilę się rozplacze, więc wróciła do łóżka, i żeby oderwać myśli od Marcela, zaczęła mówić cicho swoje kwestie z Szekspira.

Ale powtarzanie fragmentów fragmentów „Romea i Julii” to nie najlepszy pomysł na to, by zapomniec o nieszczęśliwej miłości.

ROZDZIAŁ 20

Maria wytarła blat przy zlewozmywaku i rozejrzała się. Wszystko było na swoim miejscu, kuchnia świeciła idealną czystością.

Mogła już pójść do siebie i odpocząć po dniu pracy, ale odsunęła krzesło i usiadła przy stole. I tak nie zamierzała jeszcze wracać do swojego pokoju. Musiała najpierw coś załatwić. Myślała nad tym od kilku dni i dzisiaj doszła do wniosku, że nie będzie tego odwlekać. Nie mogła już dłużej patrzeć na cierpienie Marcela.

Nigdy jeszcze nie odważyła się zawracać głowy swojemu chlebodawcy sprawami, które nie dotyczyły prowadzenia domu. Wiedziała, że pan Blanchard nie będzie zachwycony tym, że wtrąca się w jego prywatne sprawy, pewnie się rozgniewa, kto wie, czy nie wyrzuci jej z pracy.

Liczyła się z tą ostatnią możliwością i z żalem myślała o opuszczeniu Blanchard Château, które po trzydziestu latach traktowała już jak własny dom, mimo to musiała z nim porozmawiać. Marcel potrzebował pomocy. Czas, żeby pan Blanchard przejrzał na oczy i zrozumiał, że jego wnukowi potrzeba czegoś więcej niż nowego samochodu, drogich ubrań, komputerów i innych sprzętów.

Jeszcze raz popatrzyła na swoje królestwo i choć zadrżała na myśl, że wkrótce może je stracić, wstała od stołu, wyszła z kuchni i zdecydowanym krokiem ruszyła schodami na pierwsze piętro. Pod drzwiami gabinetu zawahała się chwilę i zapukała.

- Proszę! - usłyszała.

Weszła do środka i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Philippe Blanchard siedział w fotelu z ciemnozielonej skóry przed wielkim mahoniowym biurkiem. Uniósł głowę znad papierów, zdjął okulary, których używał tylko do czytania i spojrzał na Marię. W jego twarzy rzadko można było dojrzeć jakiegokolwiek emocje, ale teraz widać było na niej zdziwienie. Maria prawie nigdy nie przychodziła do jego gabinetu, a zwłaszcza o tej porze. Wszystkie sprawy związane z prowadzeniem domu omawiali na dole po śniadaniu.

- Muszę z panem porozmawiać - oznajmiła. Starszy pan zerknął na zegarek i uniósł brwi. Dochodziła dziesiąta, właśnie zamierzał skończyć przeglądanie papierów i pójść spać. Winobranie wprowadzić się skończyło i nie musiał zrywać się już o piątej, ale nigdy nie wstawał później niż o siódmej.

- Nie możesz poczekać z tym do jutra?

W pierwszym odruchu chciała skorzystać z możliwości wycofania się, lecz przemogła

w sobie chęć ucieczki.

- Nie, nie mogę.

Philippe Blanchard zorientował się, że musi chodzić o coś ważnego. Inni często zawracali mu głowę rzeczami, o których wcale nie musiał wiedzieć, ale ona nigdy tego nie robiła, może właśnie za to tak ją cenił.

- W takim razie usiądź. - Wskazał jej krzesło naprzeciwko swojego biurka. - Usiądź - powtórzył, widząc, że Maria się waha.

Był pewien, że chce z nim porozmawiać o którymś z pracowników, może nie mogła się dogadać z ogrodnikiem albo jedną z pokojówek, może w domu popsuło się coś i wymagało naprawy, w każdym razie zupełnie nie spodziewał się tego, co po chwili usłyszał.

- Chodzi o pańskiego wnuka.

- O Marcela? Maria skinęła głową.

- Coś narozrabiał? - spytał. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Siedemnastoletni chłopcy rozrabiają, to normalne w tym wieku. Starszy pan pomyślał, że Maria chyba jednak tym razem niepotrzebnie zawraca mu głowę. Nie podejrzewał, żeby jego wnuk, który wyglądał na spokojnego chłopaka, zrobił coś takiego, czym trzeba by się było naprawdę przejmować. - Pobił się z kimś? - Przy kolacji nie widział na nim wprawdzie śladów bójk, no ale chłopak mógł je zostawić na swoim przeciwniku. Philippe Blanchard z dumą pomyślał o tym, że jego wnuk nie dał sobie zrobić krzywdy.

- Nie, nie narozrabiał i z nikim się nie pobił. To dobre dziecko. - Wiedziała, że nie będzie to prosta rozmowa, ale nie spodziewała się, że aż tak trudna. - Nie, chodzi o coś zupełnie innego. Pana wnuk jest zakochany. Philippe Blanchard uśmiechnął się szeroko.

- To chyba dobrze - powiedział. - Chłopcy w tym wieku powinni kochać się w dziewczynach.

Maria nie odzywała się, patrzyła na niego tak, że poczuł ukłucie niepokoju.

W gabinecie zapadła pełna napięcia cisza.

- W kim? - zapytał w końcu.

- W córce Antoniego Medrano.

Twarz starszego pana zastygła niczym posąg. Nie odzywał się, nie poruszał, wydawało się, że przestał oddychać.

Maria wpatrywała się w swoje dłonie, bojąc się otworzyć usta. Milczenie ciągnęło się w nieskończoność. Przemknęło jej przez głowę, żeby chwycić swego pracodawcę za ramiona, potrząsnąć nim i w ten sposób przywrócić go do rzeczywistości.

- Wyjdź - usłyszała nagle. Głos Philippe'a Blancharda, zawsze taki młody, energiczny,

zupełnie nie pasujący do człowieka w jego wieku, zabrzmiał jak głos starca.

Nawet nie drgnęła.

- Proszę cię, wyjdź już. Jest późno. - Nie zwracał się do niej takim tonem jak chlebodawca do pracownika. To nie było polecenie, lecz prośba złamanego człowieka.

Maria, która przez cały czas siedziała na samym brzeжку krzesła - aż dziw, że udało jej się tak długo wytrwać w tej pozycji - przesunęła się do tyłu, oparła, podniosła wzrok i spojrzała w oczy siedzącego po przeciwnej stronie biurka mężczyzny. Sama nie wiedziała, skąd bierze się w niej tyle siły, może stąd, że nagle zdała sobie sprawę, że musi ratować nie tylko Marcela, ale i jego dziadka.

- Nie wyjdę - oznajmiła stanowczo.

Philippe Blanchard oparł łokcie na blacie biurka, chwycił się za skronie i opuścił głowę.

- Koło się zamknęło - wyszeptał raczej do siebie niż do Marii.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi gabinetu, antyczny zegar w holu na dole zaczął właśnie wybijać dwunastą. Nie była całkowicie przekonana, czy udało jej się załatwić to, co zamierzała, ale więcej zrobić już nie mogła. Teraz wszystko zależało od pana Blancharda. Wierzyła jednak, że skoro raz wyszedł ze swojej skorupy i otworzył przed kimś serce, to może uda mu się to jeszcze raz, zwłaszcza że zależało od tego szczęście kogoś, kogo kochał.

Bo teraz Maria nie miała już najmniejszych wątpliwości, że Philippe Blanchard kocha wnuka.

ROZDZIAŁ 21

Liście z większości drzew już opadły, ale wiązy rosnące przy drodze do Słonecznej Jesieni wyglądały przepięknie w swej złocistobrazowej szacie. Dzień, jak na koniec listopada, był wyjątkowo ciepły i Leslie planowała, że jeśli tylko babcia będzie się dobrze czuła, wybierze się z nią na spacer.

Najwyraźniej nie tylko ona wpadła na ten pomysł, bo park wokół budynku był pełen pensjonariuszy i odwiedzających. Leslie rozejrzała się w nadziei, że zobaczy wśród nich babcię, ale widziała tylko obce twarze. Nie dostrzegła jej również w holu i ze smutkiem pomyślała, że pewnie dziś, tak jak za trzema ostatnimi razami, również nie będzie miała szczęścia.

Przebiegła długi korytarz i zapukała do drzwi.

- Proszę - usłyszała.

Weszła i radosny uśmiech rozjaśnił jej twarz. Na wprost niej stała babcia, taka jaką pamiętała sprzed kilku lat, z błyszczącymi niebieskimi oczami.

- Leslie, kochanie, właśnie chciałam iść do holu i tam na ciebie poczekać. Czułam, że dzisiaj przyjdiesz. Tak się za tobą stęskniłam.

Dziewczyna rzuciła się w jej wyciągnięte ramiona i przez chwilę mocno się do siebie tuliły.

- Byłam tu kilka razy, ale... Starsza pani smutno skinęła głową.

- Wiem, kochanie, wiem. - Poglaskała wnuczkę po głowie i zapytała: - Posiedzimy sobie tutaj czy wyjdziemy za zewnątrz?

- Na dworze jest bardzo ładnie. Może trochę pospacerujemy.

- Chętnie.

Leslie pomogła jej narzucić na ramiona ciepły szal i trzymając ją za ramię, wyszła na korytarz. Kiedy znalazły się w holu, musiały się co chwila zatrzymywać, żeby przywitać się ze znajomymi, którym Angela Medrano z dumą pokazywała swoją wnuczkę.

Dziewczyna ucieszyła się, że nie spotkały pani Oliver, ta bowiem z pewnością zatrzymałaby je tu na dłużej, a tymczasem na zewnątrz było tak pięknie.

- Chodź, pokażę ci takie miejsce, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał - powiedziała babcia i zaprowadziła ją w odosobniony zakątek parku, gdzie, ukryta między drzewami, stała ławeczka.

- Nie jesteś za lekko ubrana? - spytała starsza pani, kiedy usiadły.

Kiedyś, gdy Angela Medrano był zdrowa, Leslie irytowała trochę jej nadmierna

opiekuńczość, ale teraz wzruszała ją, jak wszystko, co przypominało jej dawną babcie.

- Nie, naprawdę jest mi ciepło. Starsza pani ujęła ją pod brodę i odwróciła twarzą do siebie.

- Coś cię męczy, prawda? - spytała, patrząc jej w oczy. Leslie nie zamierzała opowiadać jej o swoich kłopotach, nie chciała, żeby się czymś martwiła. Nie przyjechała też po to, żeby wypytywać ją o Blanchardów, to nie miało już i tak znaczenia. Chciała z nią prostu pobyc, ale coś w niej nagle pękło i nie była w stanie się powstrzymać.

- Zakochałam się, babciu - wyrzuciła z siebie, tłumiąc szloch.

- To nie jest jeszcze powód do płaczu - powiedziała Angela Medrano, chociaż kto jak kto, ale ona wiedziała, że to może być powód do płaczu.

- Jest, dla mnie jest.

Starsza pani wyjęła z kieszeni paczkę chusteczek i zaczęła wycierać policzki wnuczki. Kiedy została jej ostatnia, uznała, że to daremny trud, i postanowiła zachować ją na później. Przytuliła Leslie i zaczęła ją lekko kołysać, tak jak robiła to przed laty.

I tak jak przed laty, jej wnuczka w końcu przestała płakać, otarła kciukiem ostatnie łzy i powiedziała cicho:

- Przepraszam, że się tak rozkleiłam.

- Opowiesz mi coś o tym chłopcu? - spytała Angela Medrano.

Leslie skinęła głową.

- To jest Marcel Blanchard. Wnuk... - Nie musiała kończyć.

Oczy starszej pani nagle zaszyły mgłą. Dziewczyna przeraziła się, że babcia znów odchodzi do swojego świata, do którego ona nie miała dostępu, lecz po chwili zorientowała się, że to łzy. Zaczęła wyrzucać sobie, że niepotrzebnie zdenerwowała babcie. Kto wie, jakie skutki przy jej chorobie może wywołać takie wzruszenie?

Po chwili trochę się uspokoiła, bo starsza pani ostatnią chusteczką wytarła oczy i policzki i spytała:

- Czy tata zabronił ci się z nim spotykać? Leslie skinęła głową.

- Powiedział ci dlaczego?

- Nie, tak naprawdę nie wiem, o co chodzi.

- A chciałybyś się dowiedzieć?

- Tak - szepnęła dziewczyna. Teraz ta wiedza nie mogła jej już w niczym pomóc, mimo to chciała wiedzieć wszystko, co miało jakikolwiek związek z Marcelem. - Chyba tak.

Angela Medrano odetchnęła głęboko i zaczęła swoją opowieść:

- Na początku naszego wieku... - Przerwała i poprawiła się: - Ciągłe zapominam, że

mamy już dwudziesty pierwszy wiek. No więc na początku zeszłego wieku z pokładu statku, który zawinął do portu San Francisco, zeszło dwóch młodych ludzi, jeden miał na imię Paolo, drugi Paul. Jeden był Włochem, drugi Francuzem. Nie wiem, być może to wspólne imię ich połączyło, w każdym razie poznali się już na pokładzie statku i zeszli na ląd nie tylko jako przyjaciele, ale i wspólnicy. Paolo miał pieniądze.

które zaoszczędził, przez kilka lat ciężko pracując na Wschodnim Wybrzeżu, drugi przywiózł ze sobą skarb równie cenny, sprowadzone z Francji szczepy winorośli i doświadczenie kilku pokoleń w uprawie wina.

- Czy Paolo był moim pradziadkiem? - spytała Leslie.

- Prapradziadkiem. Był zdecydowany rozpocząć w Kalifornii nowe życie, ale nie miał sprecyzowanych planów, więc kiedy Paul zaproponował, żeby został jego wspólnikiem, zgodził się bez wahania. Kupili ziemię w dolinie i wspólnie zabrali się do pracy. Wkrótce obaj znaleźli sobie żony i mniej więcej w tym samym czasie urodzili się im synowie. Paolo dał swojemu na imię Andrea, a Paul swojego nazwał Andre.

- To Andrea był moim pradziadkiem - domyśliła się Leslie.

Angela Medrano skinęła głową i ciągnęła:

- Wszystko układało się jak najlepiej, dopóki chłopcy nie podrośli i nie założyli swoich rodzin. Twój pradziadek, ożenił się z dziewczyną, która świeżo przyjechała z Włoch...

- Zaraz - przerwała jej wnuczka. - To musiała być twoja matka.

- Tak, to była moja mama. Nie wiem, czy to jej, czy ojcu przyszło do głowy, żeby uprawiać włoskie szczepy winogron, w każdym razie pomysł powstał i mój ojciec się przy nim uparł. Andre Blanchard za nic na świecie nie chciał się na to zgodzić i...

- ...i wtedy się pokłócili - weszła jej w słowo Leslie. Ojciec wspominał coś o pradziadku Marcela, więc domyśliła się, że właśnie wtedy przyjaźń musiała zamienić się we wrogość.

- Nie, trochę później - sprostowała babcia. - Wtedy postanowili podzielić winnicę i każdy miał gospodarować na swoim.

- To kiedy się pokłócili?

- Kilka lat później. Mój ojciec nie tylko sprowadził z Włoch nowe szczepy, ale i zaciągnął kredyt, żeby dokupić jeszcze ziemi. - Angela Medrano zamyśliła się i zapatrzyła gdzieś w dal. - Nie powinno się źle mówić o rodzicach, ale był, żeby użyć delikatnego określenia, fantastą i niepoprawnym ryzykantem. Obsadził nowymi szczepami nie tylko te nowo zakupione ziemie, ale i część tych, które dostały mu się po podziale. Już wyglądało na to, że mu się uda, kiedy nagle winnice zaczęły usychać. To wszystko działo się, zanim się

urodziłam, więc znam to tylko z opowieści mojej matki. Ojciec wpadał w szał. Blanchardowie mieli dobre zbiory, a jego ziemia przestała rodzić. Bank dopominał się o zwrot kredytu. Nie wiem, jak było naprawdę, ale matka zdradziła mi kiedyś w tajemnicy, że Andre zaproponował mojemu ojcu pożyczkę, lecz on ujął się honorem i odmówił. Bank przejął całą nowo zakupioną część winnicy i część tej starej i wystawił na sprzedaż.

- I Andre Blanchard ją kupił - powiedziała Leslie.

- Wyobrażasz sobie, jak zareagował na to mój ojciec?

- Wściekł się.

- Mało powiedziane. Szalał jak zranione zwierzę. Opowiadał po okolicy, że to Andre Blanchard go zniszczył, bo chciał udowodnić, że to on miał rację. Mówił, że oblał winorośl jakimś kwasem, że rzucił na ziemię klątwę i inne niestworzone rzeczy. - *Angela Medrano* chwilę nad czymś myślała, po czym dodała: - Wiesz, kiedy się nad tym zastanowię, to wydaje mi się, że z czasem uwierzył w to wszystko, co opowiadał.

- A dlaczego właściwie te winnice przestały rodzić? - zapytała Leslie.

Babcia uśmiechnęła się smutno.

- Słyszałaś o filokserze.

- Oczywiście. - Każdy w Kalifornii, kto miał cokolwiek wspólnego z uprawą winorośli, musiał słyszeć o tym szkodniku. Przed kilku laty poznano metody zwalczania go i przestał spędzać sen z powiek właścicieli winnic, ale jego nazwa wciąż brzmiała złowrogo.

- Po latach okazało się, że filoksera nie atakuje tych odmian winorośli, które uprawiali Blanchardowie, ale te, które mój ojciec sprowadził z Włoch, nie były na nią odporne.

- Ale twój ojciec dalej był przekonany, że wszystkiemu winni są Blanchardowie.

- Był tak oślepiiony nienawiścią, że nie przyjmował żadnych rozsądnych argumentów.

Leslie myślała, że to wszystko, że na tym cała historia się kończy, ale babcia mówiła dalej:

- Nie było nam łatwo, zwłaszcza kiedy wybuchła druga wojna światowa. Kawalek winnicy, który pozostał, nie przynosił dużych dochodów, ale jakoś można było z tego żyć. Moja matka była bardzo oszczędna i nie pamiętam, żebym w dzieciństwie cierpiała biedę. A potem... - *Angela Medrano* przerwała. W jej oczach pojawił się smutek, jakby to, o czym miała mówić, było szczególnie bolesne. - Potem zakochałam się w Phillipie Blanchardzie.

Leslie chwyciła się kurczowo ławki, obawiając się, że z niej spadnie.

- Co?!

- Ojciec ci o tym nie powiedział, prawda? Dziewczyna pokiwała głową.

- Boże, jaki on był przystojny w mundurze porucznika - powiedziała starsza pani z

rozmazaniem.

Leslie spojrzała na nią zdziwiona. Pierwszy raz słyszała, żeby jej tata nosił kiedykolwiek jakiś mundur.

Angela Medrano, widząc zdumienie na twarzy wnuczki, roześmiała się.

- Nie twój ojciec - wyprowadziła ją z błędu. - Philippe Blanchard. Wrócił właśnie z wojny w Europie. - Zatopiła się we wspomnieniach. Oczy miała teraz tak samo błękitne jak kiedyś, zanim dopadła ją choroba.

Leslie nie mogła się doczekać, kiedy usłyszy dalszą część opowieści, ale czekała, aż babcia sama zacznie mówić dalej. Nie chciała przerywać jej tych wspomnień.

- Byliśmy w sobie tak zakochani jak... jak... - Starsza pani nie mogła znaleźć odpowiedniego porównania.

- Jak Romeo i Julia? - podpowiedziała jej wnuczka cichutko.

Angela Medrano zastanawiała się chwilę, a potem uśmiechnęła się gorzko.

- Tylko że żadne z nas nie było gotowe umrzeć dla tej miłości.

I Bogu dzięki, pomyślała Leslie, lecz nie powiedziała tego głośno.

- A ja nie miałam nawet odwagi przeciwstawić się ojcu, kiedy Philippe poprosił mnie o rękę.

- Dziadek Marcela poprosił cię o rękę, a ty mu odmówiłaś?!

- Nie patrz na mnie tak - powiedziała starsza pani. - Sama wyrzucałam to sobie przez całe lata. To były inne czasy. Philippe'a znałam zaledwie kilka miesięcy, ojca całe życie i kiedy przyszło mi wybierać między nimi dwoma... - Głos jej się załamał.

- A on, dziadek Marcela? Nie próbował cię przekonywać?

- Próbował, ale widać nie dość mocno. Do tego czasu to tylko mój ojciec nienawidził Blanchardów. Teraz Philippe'a zaczęła zżerać równie głęboka nienawiść do naszej rodziny. Zmienił się. Zmienił się nie do poznania, zwłaszcza kiedy wyszłam za mąż.

Leslie wiedziała od mamy, że babcia nie była szczęśliwa z mężem, który okazał się na tyle nieodpowiedzialnym człowiekiem, że nawet Andrea Medrano nie sprzeciwiał się, kiedy postanowiła się z nim rozwieść.

Przez kilka minut siedziały na ławce i żadna nie wiedziała, co powiedzieć.

Pierwsza odezwała się wnuczka.

- Babciu, żałujesz, że nie przeciwstawiłaś się wtedy ojcu?

Starsza pani nie odpowiadała, a wnuczka nie chciała jej naciskać.

- Najbardziej żałuję czegoś zupełnie innego - odezwała się w końcu Angela Medrano.

- Kiedy rozwiodłam się z Benem, twój tata miał dopiero pięć lat. Uwielbiał swojego dziadka i

spędzał z nim każdą chwilę. Nie miałam nic przeciwko temu, bo zastępował mu ojca. Cieszyłam się, że uczy go wielu rzeczy, nie wiedziałam tylko, że jedną z nich jest nienawiść do Blanchardów. Kiedy się zorientowałam, twój tata był nią już tak przesiąknięty, że nie byłam w stanie nic zrobić.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, potem babcia spojrzała na wnuczkę i zobaczyła jej smutną twarz.

- Opowiedz mi coś o tym Marcelu – poprosiła.
- On już mnie nie kocha.
- Jesteś tego pewna?

ROZDZIAŁ 22

Jesteś tego pewna? Jesteś tego pewna? Jesteś tego pewna?

Leslie nie mogła się uwolnić od tego pytania. Pulsowało w jej głowie, kiedy poprzedniego wieczoru kładła się spać, kiedy rano wstawała i potem jechała do szkoły. Powracało na lekcjach, przerwach i teraz, kiedy idąc na parking, zobaczyła Marcela i ich spojrzenia się spotkały, przez długą chwilę nie mogły się od siebie oderwać, a potem umknęły, każde w inną stronę, Leslie wreszcie odpowiedziała sobie na to pytanie.

Nie, nie była pewna. Zobaczyła bowiem w oczach chłopca coś, dzięki czemu znów zaczęła się w niej tlić iskierka nadziei.

Walcząc ze sobą, żeby się nie odwrócić, minęła grupę chłopców, w której stał Marcel, i przyspieszyła kroku. Dopiero kiedy weszła na parking i wiedziała, że zniknęła z zasięgu jego wzroku, zatrzymała się i kilka razy głęboko odetchnęła.

Już chciała ruszyć dalej, kiedy jej spojrzenie zatrzymało się na stojącym najbliżej samochodzie, zupełnie niepasującym do innych zaparkowanych tu wozów.

Przy tej czarnej luksusowej limuzynie nawet stojący kawałek dalej pontiac Marcela wyglądał jak ubogi krewny.

Zaciekawiona, kto podjechał czymś takim pod ich szkołę, popatrzyła do środka i zamarła. Mimo lekko przyciemnianych szyb wyraźnie zobaczyła mężczyznę siedzącego za kierownicą. Choć widziała go pierwszy raz w życiu, natychmiast rozpoznała w tym siwym człowieku o pooranej zmarszczkami twarzy tego młodego porucznika, w którym ponad pół wieku temu zakochała się jej babcia.

ROZDZIAŁ 23

Philippe Blanchard już od dwudziestu minut czekał na parkingu liceum Santa Rosa. Nie było mu łatwo tu przyjechać. Zbyt wiele wspomnień wiązało się z tym miejscem, wspomnień, które przez ponad dwadzieścia lat próbował zepchnąć w najdalsze zakamarki świadomości.

Kiedy we wrześniu trzeba było wybrać dla Marcela szkołę, zastanawiał się nad prywatną, ale wnuk uparł się, że chce chodzić do normalnego liceum. Philippe Blanchard nie nastawał. Prywatna wiązałaby się z mieszkaniem w internacie, a on, choć być może tego nie okazywał, bardzo chciał, żeby chłopak zamieszkał w Blanchard Château. Nie zdobył się jednak na to, by we wrześniu przyjechać tu osobiście, żeby zapisać Marcela do szkoły; zrobił to telefonicznie, a potrzebne papiery dostarczył jeden z pracowników.

Dziś był tu po raz pierwszy od prawie trzydziestu lat. Spojrzał na wejście do budynku, z którego wyszedł jakiś ostrzyżony na krótko blondyn, ale przed oczami stanął mu inny chłopiec, o ciemnych długich włosach.

Philippe Blanchard uśmiechnął się na myśl o tym, jakie boje staczał wówczas z synem o te długie włosy. Już wtedy nie mogli się dogadać, a potem zupełnie stracili kontakt. Nie zastanawiał się dzisiaj nad tym, dlaczego tak się stało. Myślał o tym przez cały tydzień i w końcu odpowiedział sobie na to pytanie. To on zawinił. Michel żył w przekonaniu, że dla ojca ważniejsze od ludzi, ważniejsze od syna jest Blanchard Estate i nawet jeśli było inaczej, Philippe Blanchard nie potrafił go do tego przekonać. To dlatego Michel tak zniechęcił tę winnicę, że chciał od niej uciec jak najdalej.

Po studiach wstąpił razem ze swoją dziewczyną do Korpusu Pokoju, przez kilka lat uczyli dzieci w jakiejś wiosce w Ameryce Łacińskiej, a potem wyjechali do Europy i nigdy nie wrócili już do Kalifornii.

Ojciec uznał wtedy, że Michel zdradził nie tylko jego, ale kilka pokoleń rodziny, które ciężko pracowały na to, żeby Blanchard Estate stała się tym, czym była dzisiaj, i nie zrobił nic, żeby pogodzić się z synem.

Łzy zaczęły spływać po jego poranej zmarszczkami, ogorzałej od słońca twarzy, a obrazy z przeszłości przesuwały mu się przed oczami jak klatki z filmu.

Nagle stało się coś dziwnego, jakby film przesunięto o kolejnych dwadzieścia lat.

Przed samochodem zatrzymała się na chwilę jakaś nastolatka z końskim ogonem, ubrana w dzinsy i sportową bluzę, ale on widział inną dziewczynę. W powiewającej na wietrze spódnicy w grochy, z falami jasnych włosów opadających na ramiona, uśmiechającą

się jak anioł. Bo Angela Medrano, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy po powrocie z wojny, wydała mu się piękna jak anioł.

Przetarł oczy, żeby sprawdzić, czy nie śni. Dziewczyna w sportowej bluzie wciąż tam stała. Nie uśmiechała się, twarz miała smutną, ale kiedy na chwilę uniosła wzrok, zobaczył oczy Angeli.

ROZDZIAŁ 24

Chris Wilcom gwizdnął przeciągle.

- O rany! Ale na ciebie popatrzyła - powiedział, patrząc zazdrośnie na Marcela. - Człowieku, na co czekasz? Ja na twoim miejscu już bym za nią leciał.

- Co? - Marcel oderwał wzrok od idącej w kierunku szkolnego parkingu Leslie i spojrzał na kolegę.

- Nie widziałeś, jak Cindy Stone na ciebie łypała?

- Kto?

- Cindy Stone. Człowieku, czy ty wiesz, co to znaczy? Marcel popatrzył na parking, ale Leslie zdążyła już zniknąć między samochodami, wrócił więc wzrokiem do kolegi.

Chris, uśmiechając się od ucha do ucha, przyglądał się stojącej kilkanaście metrów dalej dziewczynie.

- Niezła, co? - rzucił.

W tym momencie dziewczyna odwróciła się.

- To jest ta cała Cindy? - zapytał Marcel. Chodził z nią wprawdzie na niektóre lekcje, ale jeszcze nie zapamiętał, jak ma na imię.

- Człowieku. Na jakim ty świecie żyjesz? To Cindy Stone. Taką laskę to...

- Słuchaj, muszę pędzić, Cześć - przerwał mu Marcel, i zanim jego zaskoczony kolega zorientował się, co się dzieje, już biegł w stronę parkingu.

Nie będzie tego odwlekał. Od tygodnia przychodził do szkoły, obiecując sobie, że porozmawia z Leslie. Nie miał wielkiej nadziei, że jeszcze jej na nim zależy, ale jeśli była szansa jedna na milion, to chciał to wiedzieć. Nie mógł już tak dłużej żyć.

Przyspieszył kroku, obawiając się, że Leslie wyjedzie, zanim ją zatrzyma. Nie zauważył, że zaraz przy wejściu stoi czarny mercedes, dopiero kiedy go minął, usłyszał głos Philippe'a Blancharda, który opuścił szybę i wystawił głowę:

- Marcel!

- Co... - Zaskoczony chłopak nie był w stanie wydusić z siebie słowa. - Co ty tu robisz?

- Czekam na ciebie. Chciałbym cię dokądś zabrać.

- Teraz?

Starszy pan skinął głową.

- Dokąd? - spytał Marcel.

- To niespodzianka.

- Nie mogę teraz. - Chłopak zawahał się. - Poczekasz na mnie chwilę? Muszę najpierw coś załatwić. – Kiedy kończył to mówić, usłyszał zgrzyt opon na żwirze. Stara honda civic Leslie minęła go i wyjechała za bramę. Marcel opuścił ramiona i spojrzał na dziadka. - A co z moim samochodem?

- Podwożę cię tu potem i będziesz mógł wrócić nim do domu.

Chłopak jeszcze raz zerknął w kierunku bramy, po czym zrezygnowany wsiadł do mercedesa.

Wyjeżdżając z parkingu, nie skręcili w prawo, domyślił się więc, że nie jadą do Blanchard Estate. Był zaskoczony pojawieniem się dziadka pod szkołą, ale nie wypytywał.

Starszy pan nie odzywał się, skupił się na prowadzeniu samochodu. Marcel zerknął na niego i po raz pierwszy dostrzegł podobieństwo do ojca. Starszy pan miał wprawdzie ostrzejsze rysy, ale chłopak przypisał to różnicy wieku.

Kiedy przyjrzał mu się dokładniej, zauważył coś jeszcze. Philip Blanchard postarzał się. Bruzdy na jego twarzy były zdecydowanie głębsze niż kilka tygodni temu. Ale to nie wszystko. Zmieniło się coś jeszcze. Marcel nie miał pojęcia co, wiedział tylko, że to coś sprawiło, iż twarz jego dziadka wydawała się bardziej ludzka.

Jechali kilkanaście kilometrów główną drogą, a potem skręcili w wąską aleję wysadzaną wysokimi drzewami. Spadające liście wirowały na wietrze, a te, które opadły, utworzyły na asfaltowej nawierzchni złocistobrazowy dywan.

- Wiesz może, co to za drzewa? - spytał, żeby nawiązać jakąś rozmowę.

- Wiązy.

- Nie powiesz mi, gdzie jedziemy? Philippe Blanchard na chwilę odwrócił wzrok od drogi i spojrzał na wnuka.

- Chciałbym, żebyś kogoś poznał.

ROZDZIAŁ 25

I jak wyglądam? - Debbie Medrano okręciła się przed mężem w swojej nowej sukience.

- Ślicznie. - Antonio Medrano wstał z fotela, podszedł do żony i pocałował ją. - Długo cię nie będzie?

- Wrócę na pewno przed dziesiątą. - Chwyciła nową torebkę, prezent od męża, i już chciała wyjść, ale się zatrzymała. - Toni... - powiedziała cicho, patrząc mu w oczy.

- Tak, kochanie, porozmawiam z nią, obiecuję. Przez chwilę zastanawiał się, czy od razu nie pójść na górę do córki, w końcu jednak uznał, że skoro tyle z tym czekał, to może to odwlec jeszcze trochę i skończyć artykuł, który czytał, zanim Debbie zeszła na dół.

Usiadł w fotelu, rozłożył gazetę, ale przeczytał zaledwie kilka zdań i się zamyślił. Ostatnio często mu się to zdarzało. Nie miał już na głowie tylu spraw związanych z winnicą, mógł się więc zastanowić nad innymi rzeczami. A dzisiaj myślał nad czymś szczególnym. Gdy wracając do domu z Santa Helena, mijał drogę prowadzącą do Blanchard Château, ze zdumieniem stwierdził, że po raz pierwszy nie poczuł czegoś, co towarzyszyło mu od dziecka, kiedy tylko pojawiał się w okolicy tego miejsca.

Czterdzieści lat temu jechał tamtędy ze swoim dziadkiem. Na skrzyżowaniu dróg Andrea Medrano zatrzymał się i kazał wnukowi wyjść z samochodu.

- Patrz - powiedział. - Tam mieszka ten łajdak Blanchard.

Chłopczyk popatrzył we wskazanym kierunku, ale poza ciągnącymi się w dal winnicami nie zobaczył niczego.

- Gdzie? - zapytał.

Dziadek wziął go na ręce i podniósł wysoko, lecz Antoni dalej widział tylko wzgórze porośnięte winną latoroślą. Od tego dnia wiedział jednak, że tam, w dali za nimi, mieszka sam diabeł wcielony.

Antoni Medrano uśmiechnął się do tego wspomnienia i odłożył gazetę. Nagle coś sobie uświadomił. Zrozumiał, komu przede wszystkim zawdzięcza swój sukces. Postawił na nogi podupadającą winnicę i rozwinął ją tak, że choć nie mogła się jeszcze mierzyć z Blanchard Estate, to należała do najbardziej liczących się w okolicy. Zawdzięczał to, oczywiście, ciężkiej pracy. Ale nie tylko. Dziś po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że to wpojona przez dziadka nienawiść do Blanchardów była przez ostatnie dwadzieścia lat motorem jego działania. To dzięki niej wstawał dwie godziny wcześniej niż inni właściciele winnic i później kładł się spać. A kiedy zdał sobie z tego sprawę, nagle uświadomił sobie, że

gdzieś się ulotniła. A potem przemknęła mu przez głowę jeszcze jedna myśl, że być może nienawiść jego dziadka wynikała po prostu ze zwykłej zawiści nieudacznika. Szybko ją odpędził. Nie chciał, by przyciemniała mu obraz człowieka, którego bardzo kochał. Jednak nie był już w stanie wzniecić tej niechęci, którą tak wytrwale dziadek w nim podsycił.

Antoni Medrano wstał i zamierzał pójść do pokoju córki, kiedy zobaczył ją zbiegającą po schodach.

Zniknęła w kuchni, a po chwili wypadła z niej z kartonem soku i szklanką.

- Leslie! - zawołał - Możemy porozmawiać?

- Teraz? - Dziewczyna zatrzymała się w połowie schodów. Na jej twarzy malowało się przerażenie. - Muszę iść powtarzać swoje kwestie. Wiesz, co się stało dzisiaj na próbie generalnej? Wszystko wyleciało mi z głowy. Wszystko, rozumiesz!

- To przecież niemożliwe. - Antoni Medrano znał swoją córkę na tyle, by wiedzieć, że już co najmniej od miesiąca zna swoją rolę na pamięć. - Może po prostu powinnaś odpocząć, zamiast się denerwować.

- Odpocząć? I jutro wyjść na scenę i...

- Leslie, nie panikuj, poradzisz sobie. W zeszłym roku sobie poradziłaś, a jutro pójdzie ci jeszcze lepiej.

- W zeszłym roku nie miałam głównej roli. Antoni Medrano, wiedząc, jak ważny dla córki jest jutrzejszy dzień, postanowił odłożyć rozmowę z nią na kiedy indziej. Dziś i tak żyła tylko jutrzejszym spektaklem.

ROZDZIAŁ 26

Mówią, że trema pomaga aktorom. Niektórzy z wielkich mistrzów teatru uważają, że właśnie jej zawdzięczają swoje największe kreacje. Kiedy Leslie czytała o tym w ich biografiiach, wydawało jej się to prawdopodobne.

Dziś nie wierzyła w to ani trochę. Jak może pomagać coś, co paraliżuje, coś, co sprawia, że nogi uginają się w kolanach i człowiek nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu? A Leslie była pewna, że jeśli w ogóle uda jej się wyjść na scenę, to na samym środku się przewróci.

Pan Shelton, opiekun kółka teatralnego, chodził między dziewczętami i chłopcami, ubranymi w renesansowe stroje z wypożyczalni w San Francisco. Uśmiechał się, żeby dodać im odwagi, lecz, jak zawsze, gdy się denerwował, lekko drgały mu powieki. Podchodził po kolei do wszystkich podopiecznych i udzielał im ostatnich wskazówek.

Kiedy zwrócił się do niej, była pewna, że zaraz usłyszy: „A ty nie zapomnij znowu swojej roli”. Po wczorajszej koszmarnej próbie, na której nieustannie się myliła - albo wypowiadała kwestie nie w tym miejscu, co trzeba, albo w ogóle je zapominała - była pewna, że będzie chciał, żeby dzisiaj w roli Julii wystąpiła Melissa Mueller. Do każdej roli była bowiem wyznaczona druga osoba, na wypadek gdyby ktoś się rozchorował. On zdecydował jednak, że wystąpi Leslie.

Teraz podszedł do niej, wziął w obie dłonie jej rękę i mocno uścisnął.

- Będzie dobrze, Leslie - powiedział.

W jego głosie było tyle otuchy, że gdyby nie te jego drgające powieki, być może przestałaby się bać.

Liceum Santa Rosa było niewielką szkołą, ale sali teatralnej mogłaby mu pozazdrościć niejedna duża. Młodzi aktorzy tłoczyli się przy kulisach, żeby przez wąskie szpary zobaczyć, co się dzieje na widowni.

Choć do rozpoczęcia przedstawienia pozostało jeszcze dwadzieścia minut, pierwsi widzowie zaczęli się już pojawiać. Leslie rozpoznała Terri i jej rodziców i kilka innych koleżanek. Pięć minut później dostrzegła w drzwiach wejściowych mamę, tatę i Toma. Zajęli miejsca w siódmym rzędzie, tak jak im mówiła. Pan Shelton, obawiając się, że jego podopiecznych może w czasie przedstawienia peszyć widok rodziców, radził, by ich poprosili, żeby nie siadali za blisko sceny. Leslie w tej chwili żałowała, że to zrobiła. Wolałaby widzieć twarz jakiejś bliskiej osoby.

Tej, na której jej najbardziej zależało, jeszcze nie widziała. Sala powoli się wypełniała,

a Marcela wciąż nie było. Może w ogóle nie przyjdzie, przemknęło jej przez głowę. I może lepiej, żeby nie widział, jak się skompromituje. Mimo to, kiedy tylko ktoś pojawiał się w drzwiach wejściowych, serce podskakiwało jej w piersi. Ale jej ukochany nie nadchodził.

Gdyby mu choć trochę na mnie zależało, na pewno by tu był, pomyślała z żalem i skoncentrowała wszystkie siły, żeby się nie rozplakać. Musiała wziąć się w garść. Tu nie chodziło tylko o nią. Jej koleżanki i koledzy, no i oczywiście pan Shelton, włożyli w to przedstawienie mnóstwo pracy. Nie mogła się rozkleić, bo wtedy to wszystko poszłoby na marne.

Większość miejsc była już zajęta. Leslie postanowiła nie wypatrywać więcej Marcela, ale jej wzrok dalej błądził po twarzach widzów.

Drzwi wejściowe zostały już zamknięte. Rozmowy na widowni stopniowo cichły. Cofnęła się od kulis i właśnie wtedy usłyszała jakiś dźwięk na sali. Wróciła do swojego miejsca przy szparze i spróbowała zlokalizować jego źródło.

Nie, to niemożliwe...

Cofnęła się. W ostatniej chwili przypomniała sobie o makijażu scenicznym i nie przetarła oczu. Zatrzepotała tylko powiekami, jakby chciała obudzić się ze snu. Zrobiła krok w stronę kulis i delikatnie je rozsunęła.

To nie był sen.

Przy wejściu stała babcia, jej babcia. Za jedno ramię podtrzymywał ją starszy pan, w którym natychmiast rozpoznała Philippe'a Blancharda, a za drugie... Marcel.

Pod Leslie ugięły się kolana.

Widzowie na sali odwrócili głowy w kierunku nowo przybyłych.

Spojrzała na siódmy rząd.

Rodzice zobaczyli babcię, chwilę szeptali coś między sobą, po czym ojciec wstał, przecisnął się do przejścia i ruszył schodami do drzwi.

Wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Nigdy nie widziała, żeby tata urządzał publicznie awantury, ale na wszelki wypadek wołała nie patrzeć.

Uchyliła oczy i najpierw spojrzała na siódmy rząd. Mama szepnęła coś Tomowi, a potem siedzącej obok niej kobiecie. Brat Leslie przecisnął się do przejścia i stanął na schodach, a kobieta przesunęła się o parę miejsc, tak że koło mamy pozostało kilka wolnych krzeseł.

Dopiero teraz Leslie odważyła się spojrzeć na przejście.

Jej tata i pan Blanchard, każdy z jednej strony podtrzymując babcię za ramię, sprowadzali ją na dół.

Marcel siedł za nimi i spoglądał na kulisy, jakby próbował za nimi coś wypatrzeć.

ROZDZIAŁ 27

Kurtyna znów uniosła się, żeby młodzi aktorzy, po raz trzeci już, mogli się uklonić.

Sama nie wiedziała, jak tego dokonała, ale udało jej się ani razu w czasie przedstawienia nie popatrzeć w stronę siódmego rzędu. Teraz zrobiła to po raz pierwszy, żeby się przekonać, czy to wszystko, co działo się przed rozpoczęciem spektaklu, czasem jej się nie śniło.

Byli tam. Byli tam wszyscy. Mama, tata, Tom, babcia, pan Blanchard.

I Marcel. Bił brawo, chyba najgłośniej w całej sali.

Uśmiechnęła się do niego z nadzieją, że to zauważy, i chyba jej udało, bo odpowiedział jej tym samym.

Kiedy kurtyna znów opadła, opanował ją lęk, że to, co widziała, okaże się tylko omamem.

Jej koleżanki i koledzy z podnieceniem wymieniali uwagi, a ona wpatrywała się w ciężki zielony aksamit, który oddzielał ją od tego, co jeszcze kilka godzin temu wydawało jej się zupełnie niemożliwe.

Stałaby tak pewnie jeszcze długo, gdyby nie podszedł do niej pan Shelton i nie położył jej ręki na ramieniu.

- Byłaś wspaniała, Leslie, gratuluję. Naprawdę wspaniała.

- Dziękuję - powiedziała speszona trochę tym komplementem. - I dziękuję, że nie zwątpił pan we mnie po wczorajszej próbie. - Zanim odwrócił się, żeby porozmawiać z innymi podopiecznymi, dodała niepewnie: - I jeszcze coś...

- Tak?

- Kiedy zdecydował pan, że wystawimy „Romea i Julię”, nie byłam z tego specjalnie zadowolona. - Nie przyznała się, że uważała ten pomysł za zupełnie idiotyczny. - Miałam wcześniej nadzieję, że wybierze pan jakąś współczesną sztukę. Może coś Sama Sheparda... Ale dziś jestem zupełnie innego zdania.

- Czyżby zmieniło się twoje nastawienie do klasyki? - zapytał, uśmiechając się.

- Wiele się zmieniło - odparła dziewczyna, a pan Shelton, domyślając się, że nie chodzi o sprawy, o których uczennica chemie rozmawia z nauczycielem, nie dociekał.

Wyszła z garderoby jako pierwsza z dziewcząt. Nie mogła się nadziwić, że udało jej się tak szybko zmyć sceniczny makijaż i się przebrać. Na korytarzu tłoczyli się rodzice, nauczyciele oraz koleżanki i koledzy występujących w przedstawieniu dziewcząt i chłopców.

Najpierw zobaczyła tatę, który był na tyle wysoki, że górował wzrostem nad innymi.

Zaczęła się do niego przeciskać. Mówiła dzień dobry mijanym znajomym, dziękowała im za gratulacje, ale przy nikim nie przystawała. Zatrzymała się dopiero, kiedy zobaczyła mamę i tatę rozmawiających z babcią i panem Blanchardem.

Marcel stał nieco z boku i wyraźnie jej wypatrywał. Ich spojrzenia spotkały się.

Pod Leslie ugięły się kolana. Nie była w stanie zrobić kroku. Stali tak chwilę, a potem jednocześnie ruszyli w swoją stronę.

Kiedy wyciągnął do niej ramiona, zawahała się, natychmiast jednak poczuła, że już nie musi się kryć ze swoją miłością, i zrobiła to, o czym od tak dawna marzyła, przytuliła się do Marcela, najmocniej, jak mogła. I tak jak po ich pierwszym pocałunku była zdumiona, że wszystkie planety nie powylatywały ze swoich orbit, tak teraz, kiedy wreszcie niechętnie zdjęła ręce z jego ramion, dziwiła się, że liceum Santa Rosa dalej tkwi w swoich posiadach, a wokół stoją ludzie i, jakby nic się nie stało, rozmawiają o obejrzanym przedstawieniu.

Zerknęła w stronę rodziców, babci i pana Blancharda i pomachała bratu, który właśnie uniósł kciuk, co przy jego dość ograniczonych środkach komunikowania się z nią oznaczało wyraz najwyższego uznania. Nie była tylko pewna, czy chodzi o jej osiągnięcia aktorskie, czy może o coś zupełnie innego.

- Jak to się stało? - zwróciła się do Marcela. - No wiesz, moja babcia, twój dziadek, ty razem z nimi...?

- To długa historia.

Część tej historii już знаła, była jednak ciekawa reszty. Nie dał jej jednak o to zapytać.

- Wiesz, Julio, że byłaś dzisiaj wspaniała?

- Naprawdę ci się podobało?

- Naprawdę, ale muszę cię o coś zapytać. Leslie zaniepokoił trochę jego poważny ton.

- Będiesz moją Julią?

- Nie - powiedziała przekornie i roześmiała się. - A wiesz dlaczego? Bo wolę happy endy.